

ROLA.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie: Rocznie rs. 6.—Półrocznie rs. 3.—Kwartalnie rs. 1 k. 50.
W Królestwie i Cesarstwie: Rocznie rs. 8.—Półrocznie rs. 4.—Kwartalnie rs. 2.
W W. Ks. Poznańskiem: Rocznie marek 22.—Półrocznie marek 11.
W Galicyi: Rocznie zlr. 12.—Półrocznie zlr. 6.

PISMO TYGODNIOWE, SPÓŁECZNO-LITERACKIE

POD REDAKCYĄ

Jana Jeleńskiego.

O dziełach nadsyłanych do Redakcyi, zamieszczają się recenzje. Rękopisma nadsyłane nie zwracają się.
Ogłoszenia do Roli przyjmują się w Redakcyi po cenie 10 kop. za wiersz lub za jego miejsce. Reklamy po 20 kop. wiersz.
Adres Redakcyi. — Warszawa. — Nowy-Świat Nr. 4.

Nieczne sposoby!

Powiadają, że konkurencya na polu handlowem z żydami jest dla nas niesłychanie trudną; żydzi bowiem to kupcy urodzeni, fachowi, doskonali, a my — dyletanci.

Frazes ten przyjął się jak setki innych, upowszechnił i jest powtarzaniem bezwiednie, czy bezmyślnie, bez przypuszczenia nawet, jak gruby mieści się w nim fałsz. I gdyby ci co go powtarzają, chcieli wniknąć w rzecz głębiej, musieliby ostatecznie przyznać, że frazes to wymyślony raczej i rozpowszechniany rozmyślnie przez samych przedewszystkiem żydów — dla odstraszenia od wszelkiego z nimi współzawodnictwa.

W rzeczywistości bowiem jest tak, iż nigdzie, w pośród żadnych innych przedstawicieli zawodu handlowego nie ma równie lichych kupców jak — żydzi. Ani Anglik, ani Francuz, ani Włoch, ani wreszcie żaden Polak kupiec nie prowadzi swojego handlu tak bezładnie, niechlujnie, tak niedołąźnie i tak nieumiejętnie, jak to jest widocznem w przedsiębiorstwach żydowskich. Żyd, jak wszędzie tak i w handlu, nie liczy nigdy na dalszą matę, nie umie wprowadzić do swego przedsiębiorstwa ducha ładu i porządnej organizacji, ale umie je tylko wyzyskiwać do r a z n i e przy pomocy przewrotności i szwindlu. Gdyby nie szwindel, handel żydowski nietylko w społeczeństwach wyrobionych już w tym kierunku, ale nawet u nas, nowicyuszów, istniećby nie mógł.

Istotnie też jeżeli konkurencya z żydami jest trudną, ba — nawet i niebezpieczną, to z całkiem innej racyi, nie z tej, jako żywo, że są oni kupcami. Kupcami, w istotnem, obszerniejszem i cywilizowanem tego słowa znaczeniu, nie byli oni, nie są i, zapewne, nie będą nimi nigdy.

Konkurencya też z nimi byłaby nader łatwą, gdyby zamiast godziwych, nie używali sposobów niecznych. Tu właśnie, nie w uzdolnieniu handlowem żydów, nie w ich rozumie okrzyczanym, a będącym raczej sprytem tylko szwindlerskim — spoczywa niebezpieczeństwo dla ludzi pojmujących i prowadzących handel uczciwie. Nikt z tych ludzi nie chwyci się tych środków, jakich używają żydzi i dlatego jedynie konkurencya żydowska może dla nich przedstawiać trudność.

Środki te, były już nieraz omawiane w „Roli“, a jednak musimy znowu wskazać je bliżej — z powodu skarg jakie nas z różnych stron dochodzą.

Faktem jest że ruch w zakładaniu sklepów chrześcijańskich rozwija się szybko i pomyślnie; równocześnie atoli wzmaga się też i walka żydowstwa przeciw temu ruchowi,

a walka ta polega przedewszystkiem na fałszowaniu denuncyacyach i oskarżaniach osób, biorących tutaj udział czynniejszy i występujących z jakąkolwiek inicjatywą.

Naturalnie, ponieważ kwestya usuwania żydów z pośród ludu wiejskiego przez zakładanie sklepów chrześcijańskich, jest kwestyą zabezpieczenia tegoż ludu, nietylko od wyzysku materialnego, ale i od moralnego upadku, przeto nie mogą zachowywać się w tej sprawie obojętnie, przedewszystkiem duchowni przewodnicy mas — kapłani. I rzeczywiście wpływ czcigodnych pasterzy powierzonych im parafij, odgrywa tutaj rolę nader ważną. Każdy kapłan przejęty szczerze i głęboko szczytnem swoim zadaniem, rozumie to bardzo dobrze że im mniej lud będzie miał zetknięcia ze złem jakie szerzą żydzi, tem łatwiejszą może być praca nad podniesieniem jego poziomu moralnego. Nie ma i nie może być kapłana, któryby mógł przypatrywać się biernie, jak żyd — szynkarz lub jakikolwiek inny procederzysta starozakonny, psuje i burzy to, co on pragnie naprawiać i budować.

Kapłani więc nasi, nie jako „wrogowie żydów“ nie jako „antisemici“, ale jedynie jako stróże moralności i uczuć religijnych swych owieczek, muszą starać się o usuwanie ich z pod wpływu kasty demoralizującej, muszą, idąc konsekwentnie, nie szczędzić moralnego poparcia sklepom i w ogóle przedsiębiorstwom handlowym chrześcijańskim, muszą do ich zakładania zachęcać — i tak też w rzeczy samej czynią.

Tak czynią i wszyscy obywatele wiejscy, ci mianowicie, którzy patrząc szerzej, rozumieją również iż od usuwania wpływu żydowstwa zależy przedewszystkiem moralność otaczających ich sąsiadów — włościan i moralność ich służby, a od tego znowu całość i bezpieczeństwo ich własności.

Ale właśnie, im wyraźniej ta szlachetna i rozumna inicjatywa rozwija się wpośród dwóch wspomnianych stanów inteligencji prowincjonalnej, tem liczniej i częściej przedstawiciele jej stają się przedmiotem ohydnej zemsty żydowstwa. Do nich też przedewszystkiem nieczne sposoby bywają stosowane. Jak zaś daleko niegodziwość tych sposobów sięga, stwierdziły już fakta, stwierdziła to między innymi i głośna w swoim czasie historia z księdzem Frankowskim z Końsko-Woli.

Historya to, oparta nie na przypuszczeniach, ale na śledztwie urzędowem, o rezultacie którego powiadaliśmy już czytelników naszych („Rola“ Nr. 48 z roku 1885) opierając się na szczegółowem sprawozdaniu „Warszawskiego Dniwnika“.

Godzi się historyę tę, charakteryzującą wiele innych podobnych, choćby w kilku słowach, przypomnieć.

Książd Frankowski żywym i gorącym słowem umiał

tak oddziaływać na lud, że ten przestał pić w szynkach żydowskich. Żydzi tedy chwytają się jednego z tych sposobów jakich używają zazwyczaj kiedy im idzie o usunięcie osobistości wpływowej, a przeszkadzającej ich bezecnym praktykom. Przekupiwszy służącą, dziewczynę wiejską, wysyłają ją do władzy z oskarżeniem na kapłana, iż ten nie dał jej jakoby rozgrzeszenia za to, że służy u rodziny prawosławnej. Z rozporządzenia władzy, wobec zeznań służącej, ksiądz Frankowski, skazanym został na rok zamknięcia w klasztorze Reformatów w Wysokiem Kole; ale wkrótce po tem, w skutek prośby mieszkańców, przeprowadzono zostało nowe śledztwo, przy którym służąca (Maryanna Grzegorzak) poprzednie swe zeznanie cofnęła.

„Z badania nadto rozmaitych osób — powiada wspomniane wyżej sprawozdanie „Dniwnika“ — okazało się, że żydzi istotnie starali się zaszkodzić księdzu Frankowskiemu, że podmaiwiali niektórym mieszkańcom Końsko-Woli, ewangelików, aby przyjęli udział w jego wydaleniu i namawiali pewną katoliczkę służącą u rodziny ewangelickiej, aby oświadczyła że ks. Frankowski nie udzielił jej Komunii Ś-tej za to, iż służy u Niemców“.

W rezultacie też tego śledztwa, ks. Frankowski został uwolniony i przywrócony do swoich obowiązków.

Głośna ta, jak wspomnieliśmy, historia godną jest nietylko przypomnienia ale i zapamiętania dla dwóch zwłaszcza względów praktycznych, o które idzie nam głównie w tej chwili. Najpierw jest ona wymownem i pouczającym świadectwem. czem są denuncyacje żydowskie, z jakich płyną pobudek, a powtóre powinnyby ona, jako oparta na ogłoszonym w „Warsz. Dniwn.“ rezultacie śledztwa urzędowego posłużyć, w danych wypadkach, denuncyowanemu do odpowiedniego użytku. W każdym zaś razie byłoby to rzeczą nad wyraz smutną, gdyby owe nieczne sposoby kasty wyzutej, jak to widać, z sumienia, miały zrażać ludzi dobrej woli do inicjatywy w sprawie ograniczenia wyżywiającej i zakazującej wszystko wkoło siebie gospodarki tej — kasty.

„NARWAŃCY“

POWIEŚĆ

przez

Teodora Jeske-Choińskiego.

(Dalszy ciąg.)

— Bez wątpienia, bez wątpienia — bąkał. — Ale może pan pozwoli papierosa? Proszę, wyborny tytoń, takiego nie dostanie pan w sklepach. Czy uważał pan jak Otocki rozgadania fabułę? Podtrzymuje to ciekawość, zapewne, lecz szkodzi kompozycyji. A ta hrabina Klara, jaka ona nienaturalna! Wątpię, czy Otocki widział kiedykolwiek z bliska prawdziwą hrabinę. A ten bankier? To nasz dobry znajomy. Znamy go z dawniejszych sztuk Otockiego. On zaczyna już siebie samego kopiować, a szkoda, bo trudno odmówić mu pewnej zręczności. Może panu służyć jeszcze jednym papierosem? Wszak prawda że doskonałe? Mam je od Olka Blumsteina. Ten smakosz zna się na tytoniach.

Odgłos dzwonka, wzywającego do sali, powstrzymał grzeczności Domoradzkiego.

— A niech pan uważa dobrze na trzeci akt — mówił jeszcze na progu bufetu. — Zobaczy pan, że będzie znów bal, tualety i t. p. oklepane efekta. Ten człowiek naśladuje niewolniczo komedye francuzkie.

FRANCYA ŻYDZIAŁA.

STUDYUM Z HISTORJI WSPÓŁCZESNEJ
przez Edwarda Drumont.

Tom II.

Paryż żydowski i społeczeństwo francuzkie.

(Dalszy ciąg.)

Dalecy jesteśmy od owego „Tugendbundu“ (związku cnoty), w którym Steinowie, Schernhorsty, Blüchery, młodzi poeci i starzy generałowie przygotowywali się do wyzwolenia Niemiec z pod jarzma Napoleona.

Nie można zrobić kroku w tem społeczeństwie stoczonym przez robactwo, żeby potwarze i kłamstwa nie wybiegały nam co chwila z pod nóg, niby szczury z pod nóg zwiedzającego składy dekoracyj w jakim starym teatrze. Wszędzie fałsz. Zdaje ci się że masz przed sobą świątynię, pałac, chatę: — to bleitram malowany miotłą. Zdaje ci się, że stoi przed tobą człowiek, przedstawiający pewną ideę, posiadający rzeczywiście przypisywany mu charakter; — zbadaj, nie już prywatny jego charakter, ale czyny jego publiczne, a przekonasz się, że to błazen odgrywający pewną rolę, który ma jedno tylko pragnienie: zostania deputowanym, i który spodli się tysiąc razy, byle tylko osiągnąć ten rezultat.

Najbardziej atoli zadziwiającem ze wszystkich dziennikarzy jest *Simia*. *Simia*, mówiąc właściwie, to szczególne zjawisko epokowe. Żaden wiek nie wydał typu nikczemnej korupcyi, któryby się z nim mógł równać; żaden wiek nie wyda go nigdy. Żyd nowoczesny cały wciela się w tego szczególniejszego mieszkańca.

Pewnego dnia królowa rumuńska zapytała się Blowitza, który przybył na inaugurację pociągu błyskawicznego, jakiej on jest narodowości. „Najjaśniejsza pani — odrzekł żyd — ja dalibóg nie wiem. Urodziłem się w Czechach a mieszkam we Francyi, gdzie pisuję po angielsku“.

Jako kosmopolita, Wolff stoi jeszcze wyżej; on niema ani ojczyzny, ani religii, ani płci nawet. Ta istota rodzaju nijakiego, powtarzam, jest unikatem, nie mieszczącym się w ramach żadnej istniejącej klasyfikacyi.

Za przewodnika w poznaniu tej istoty posłużyć nam może najcharakterystyczniejsza naszych czasów publikacya, wyszła z pod pióra młodego żyda-literata: „Albert Wolff, historia kronikarza paryzkiego“, przez Gustawa Toudouze.

Jak wielu jego plemienników prasowych, Wolff ujrzał światło dzienne w Kolonii, i dopiero w roku 1857 ten dobosz dziennikarstwa raczył przybyć jeść nasz chleb, przygotowując najazd na nas. Kugelman wkręcił go do „Figara“, gdzie zajaśniał raptownie. To co nazywamy sprytem paryżkim

W akcie trzecim był rzeczywiście bal z muzyką za kulisami, z mnóstwem kwiatów, świateł i jedwabów, szeleszczących na scenie.

Milęcka ukazała się w białej sukience z obnażonemi ramionami i rękami. Piers jej, odkryta prawie do połowy, falowała pod lekkimi muslinami.

Kilkaset lornetek zwróciło się na to urocze zjawisko. Między natrętami znajdowały się i szkła Bolesława.

Aktorka wiedziała, że sprawiła wrażenie. Zamiast uważać na rolę, obrzuciła salę wzrokiem tryumfatorki. — Patrzcie, jakim piękna — mówiły jej oczy — i podziwiajcie!

Podziwiano jej urodzive ciało. Ale Bolesławowi nie podobało się to kokietowanie publiczności.

— Ta koza zapomina zawsze — odezwał się obok niego szept Chłodzińskiego — że scena nie jest wystawą wdzięków niewieścich. Nie może ona jeszcze odwyknąć od sztuczek teatrów prowincjonalnych, z których ją do nas przeniesiono. Niech pan w recenzyi swojej zwróci uwagę na tę nieprzyzwoitą próżność.

Akt trzeci zakończył się nowym motywem, który utrzymywał widzów w niepewności co do ostatecznego rozwiązania intrygi.

Paradyz zahuczał oklaskami; za górnemi sferami poszły dolne: rozbrzmiała cała sala.

— Autor! autor! — wołano.

Ale Otockiego nie było w teatrze.

(*esprit parisien*), jak to już objaśniłem, jest to rzecz stworzona sztucznie przez żydów, naturalnie więc, ci co ukuli ten żargon, mówią nim najlepiej.

W owych czasach Wolff był niedrogi. Za pożyczanie pięciu ludorów obsypywał cię komplementami; prawda, że gdy przyszło do oddania, obrzucał cię obelgami.

Pewien biedny człowiek, nazwiskiem Guinon, któremu wobec tych obelg zabrakło filozofii, zaniósł skargę do sądu. Gambetta, który wnosił obronę za swoim współwyznawcą, świadczył się „bogami wszechmocnymi“, że nikt tak nie pojmuje godności prasy jak Wolff.

Sędziowie, którzy w owych czasach zacofanych miewali jeszcze przesady, innego byli zdania, i w Piątek 29 Grudnia 1869 r. sąd policyi poprawczej wydał ten wyrok, który jest jednym z najpiękniejszych kwiatów tego żywota, który Wolff lubi nazywać „żywotem honoru i zacności“.

„Zważywszy, że dziennik „Figaro“, w numerze swoim z dnia 22 Grudnia r. b. ogłosił artykuł pod tytułem: „Po Paryżu“, zaczynający się od słów: „Świat literacki“, a kończący się na słowach: „doręczył mi trzydzieści pięć krzesel orkiestrowych“, podpisany: Albert Wolff;

„Zważywszy, że pierwsze sześć paragrafów artykułu o którym mowa zawierają wyrażenia najobelżywsze i obwinienia niezmiernie oszczercze dla skarżącego; że tenże nazwany tam jest łotrem, nędznikiem, brudnym spekulantem, oszustem z wodewilu, łączącym z chciwością lichwiarza podłość lokaja, noszącym na twarzy ślady wszystkich tych bezceństw, oddającym się wieczorami studjom kodeksu karnego, aby wiedzieć co może zrobić bez popadnięcia w sieć policyi; nie mającym przyjaciół oprócz trzech urwisów, którzy raczą czasami zasiąść z nim do stołu, ale którzy wychodząc mówią do siebie: „Jednak to kompromituje człowieka, chodzić do niego“; że oprócz tego jest on tam opisany, jako skupujący długi biednych pisarzy, nabywający za byle co wodewile od młodych ludzi mrących z głodu, a jednak mający odwagę rozsiadać się wśród pisarzy, których obdziera;

„Zważywszy wreszcie że fakt ciężący na Wolffie tembardziej jest nieusprawiedliwiony, że na kilka tygodni przedtem, d. 2 Grudnia, pozostawał jeszcze w stosunkach prawie przyjacielskich z Guinonem, że nazywał go „kochanym panem“ w mnogich listach kończących się temi wyrazami: „compliments“, albo „mille compliments“; w listach, w których prosił o nową zwłokę w spłacie długu wynoszącego sto franków, którego odzyskanie powierzone było Guinonowi, ręką słowem, że przed dwudziestym drugim Października wszystko zostanie uregulowane; oraz że jest widoczną rzeczą, iż Wolff, pisząc i publikując artykuł o którym mowa, powodował się uczuciem zemsty osobistej, wywołanem zajęciem zrobionem mu w kasie pisarzy dramatycznych i w kasie dziennika „Figaro“,

Domoradzki, który się podniósł i stał w pierwszym rzędzie krzesel, zwrócony twarzą do publiczności, spoglądał ponuro na rozbawionych widzów. W jego oczach migotały żółte błyski zazdrości.

— Bydłol — mruknął do siebie. — Mają się też czem zachwycać.

Ktoś dowcipny, znający jego stosunek do Otockiego, nachylił się do niego i wyrzekł:

— Prawda, panie, że to ładna rzecz?

— Prześliczna, cudowna, wspaniała, w kął Moliéry Sardouy i t. p. hołota. Powiadam panu, że to arcydzieło — odpowiedział Domoradzki, rzucając żartownisiowi spojrzenie, które, przetłumaczone na zwykłą mowę, znaczyło: żebyś pękł, osłe jeden! Czego się mnie czepiasz?

A publiczność klaskała ciągle, domagając się autora, i uspokoiła się dopiero wtedy, kiedy inspicjent teatralny wyszedł przed kurtynę i oświadczył, że pana Otockiego niema w sali.

— Jak uważam, łączy pana z Bogackim bliższa zażyłość — odezwał się Chłodziński.

— Niech Pan Bóg broni — odpowiedział Bolesław skwapliwie. — Jechałem z nim wczoraj w tym samym wagonie z Kutna do Skierniewic. Oto nasza cała znajomość.

— Jest to ciekawy typ reportera. Czy pan wie, co to za stworzenie taki reporter? Organizm to ludzki, nie obawiający się niczego, ani kodeksu karnego, ani towarzyskie-

„Skazujemy Wolffa na sześć dni więzienia, a Wolffa i Jouvin'a solidarnie na trzysta franków grzywnien.“

Co do mnie, uważam te szczegóły za nader cenne, jako materyał do studyów nad nowoczesnem życiem francuzkiem.

Niech kto pojedzie do Niemiec, spróbuje pożyczyc sto franków i znaleźć zajęcie, a zobaczy co go spotka. Ja, jako podróżny, wydawałem dziennie pięćset franków w Kolonii, a jednak nie zdobyłem nic prócz zimnej grzeczności. W Anglii zamykają bramy kamienic kiedy deszcz pada, żeby przechodnie nie szukali w nich schronienia. Żyd koloński doznaje u nas wszelkich ułatwień, a pierwszym jego staraniem jest zelżyć k r a j o w c a i obrzucić go najordynarniejszemi przezwiskami.

Gdy zaś kto odważy się temu potwarcy zrobić to, co on robi innym, wznosi ręce do nieba i oświadcza, że ci co go napastują, są infamisami i potwarcami. Tak było z Marchal'em de Bussy.

Ale lubo cała prasa, jak się należało spodziewać, stanęła po stronie żyda niemieckiego, przeciw francuzowi, kampania „Inflexible'a“ nie była bardzo zaszczytną dla Wolffa. Trybunał, lubo ze względu na prawo o obelgach, nie mógł pozostać nieuczulym na jego skargi, poznawszy jednak bliżej budujące obyczaje tego szczególniejszego literata, przysądził mu jedynie to, czego mu nie mógł odmówić: d w a d z i e ś c i a s u s ó w. I tego było za wiele, a nawet dzisiaj, kiedy ceny wszystkich artykułów poszły w górę, nie znam trybunału, choćby on nawet złożony był z samych żydów i wolnych mularzy, którzyby się poważył ocenić wyżej honor Wolffa.

Zagrożony wygnaniem za tyle skandalów, Wolff zawołał dumnie: „Jeżeli mnie się tknąć ośmielą, powrócę na czele trzechkroć stu tysięcy ludzi!“ Te trzykroć sto tysięcy ludzi przyszły, a nawet nieco więcej, ale Wolffa, który zawsze żywił wielki wstręt do wojen, nie było z niemi. Zjawił się, gopiero gdy się wszystko skończyło.

Warto przeczytać w panegiryku Toudouze'a opis tego powrotu. Wszystko tam jest piękne. Jest tam ustęp o panu Bourgoing, który stanowi perłę prawdziwą. Podczas wojny Wolff siedział w Wiedniu, gdzie pan Bontoux, nieprzyjaciel żydów, jak wiadomo, dał mu uprzejmie dziesięć tysięcy franków na napisanie książki o Tyrolu, których z pewnością byłby odmówił chrześcianinowi. Gdybyś, czytelniku, był należał wówczas do składu ambasady francuzkiej w Wiedniu, byłbyś sobie oczywiście powiedział: „Oto prusak, wobec którego strzedz się będę zwierzeń dotyczących interesów mego kraju“. Wolff zdaje się sam tak to pojmował.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

go. Rodzoną matkę opisze, jeśli mu da sposobność do pikantnej plotki, najlepszego przyjaciela ośmieszy, bohatera zbezczesci. Cała jego istota skupia się w jednym dążeniu, w wydobyciu t. zw. wiadomości, bez względu na to, z kąd ją bierze i za jaką cenę. Bogacki chodził przynajmniej do szkoły, dawniej czytał podobno dosyć dużo, ale znaczna część reporterów rekrutuje się z nieuków, z odpadków inteligencji. Wielu z nich nie posiada znajomości składni, gramatyki nawet, a o zasadach przyzwoitości, honoru, o dyskretyci ludzi dobrze wychowauych niema żadnego wyobrażenia. Gdyby ich redaktorowie nie pilnowali, gdyby nie rzucałi większej połowy ich elukubracji do koszu, dowiedzielibyśmy się niebawem o najsłynniejszych tajemnicach prywatnych wszystkich rodzin wybitniejszych, bo całą dumą tych jegomościów jest wynalezienie czegoś nowego, świeżego.

— I takich to wyrobników posyłają redakcyje do teatru? — zapytał Bolesław, zgorzony tem, co słyszał.

— Tak się nie dzieje, kochany panie. Recenzye w ogóle pisują w Warszawie, w gazetach i tygodnikach szanujących się, albo literaci, albo fachowo wykształceni krytycy.

— A Bogacki? — wtrącił Bolesław.

Pan ten zawdzięcza swoją dzisiejszą misję wyjątkowym stosunkom, jakie panują między Otockim i Domoradzkiem. Dwaj ci komedyopisarze, równo zazdrosni, choć pierwszy z nich umie się zręcznie maskować, podczas kiedy drugi, nie lubiący powstrzymywać swego zgryźliwego uspo-

NA WYSPIE ZELANDYI.

Z notat podróznego

przepisał

S t. P I A S T.

I.

— Zatem do Londynu?

— Tak jest, łaskawy panie. Toruń, Poznań, Berlin, Hamburg. (Tu zacząłem wskazywać mu palcem, na rozłożonej przed nami mapie, główne etapy zamierzonej podróży.) W Hamburgu wsiadam na statek, płynę do Hull, na granicy Szkocji i Anglii; — w Hull kupuję bilet trzeciej klasy i, zanim pan zdąży powrócić z poobiedniej po Łazienkach przechadzki i położyć się do miękkiego łóżka, — ja patrzeć już będę na kopułę Ś-go Pawła, lub na wieżycę Westminsteru.

Nazajutrz, biegłem już pociągiem kolei żelaznej.

„Co u licha! (Wyjatek z listu, jaki odebrałem od mego przyjaciela w Chrystyanii.) Czy mi się śni w oczach? Miałeś pan jechać do stolicy Anglii, a piszesz mi z nad brzegów Kategatu... Czyżbyś, w ciągu dni kilku, zwiedził Anglię i zdążył przybyć do Danii? Co u licha!...“

„Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi.“ Celowałem w Londyn, a trafiłem w Kopenhagę, Chrystyanię, Sztokholm, Upsalę, fiordy i wodospady. Czy żałuję tego? Chyba nie, — skoro odgrzebuje w pamięci wspomnienia tej dalekiej podróży; — skoro spisuję wrażenia, jakich doznałem; — skoro... Ale dość tego! Byłem w Skandynawii; widziałem to, co mało kto z nas widział; stąpałem po gruncie, na którym mało kto z nas ślady swych stóp wycisnął..

Co wam do tego, że podążyłem tam a nie gdzieindziej? Czy wolelibyście czytać opisy miasta, którego każdy zaułek jest wam znany niemal tak dobrze, jak, dajmy na to, ulica Wierzbowa w Warszawie, — zamiast patrzeć na obrazy kraju mgłą poetyczności owianego i marzącego, w swoim śnie nieprzespanym, o minionej a krwawej wielkości, kołysanego do spoczynku baśniami z Sag romantycznych, lub powiastkami Andersona, głębokiego jak filozof, naiwnego jak dziecko?!

Czy wolelibyście?..

II.

Hamburg — to kwadrat ulic, około Alsterowego basenu. Tu się wszystko gromadzi, tu wszystko żyje. I bogaty wygrzewający się na słońcu na balkonie kamienicznik, który mając zawiśle czasu nie wie sam co z nim zrobić, i tłusty bankier zbogacony bez pracy, dzięki obrotom w które nie wlał ani naparstka potu, i majtek przybyły z zamorskich krain, pragnący użyć chwili wczasu, wolnej od ćwiczeń na

sobienia, wybucha dość często nieopatrznie, śledzą się nawzajem żółtem okiem zawisci. Domoradzki potrafi być bardzo nieprzyjemnym, gdy idzie o jego rywala. Gwałtowny zręczący, uprzykrza ludziom życie swoją nieznośną gadaniną. Chcąc się uwolnić od jego skarg, robi mu się pewne grzeczności, ustępstwa. Niech się bawi! Prawdopodobnie zbrzydły jego nudne utyskiwania recenzentowi „Gońca“, więc posłał do teatru reportera, który, jako organizm, nie posiadający żadnych skrupułów, uwzględni słabostkę Domoradzkiego i sprawi Otockiemu tak zwane lanie.

— Ależ to karygodne fałszowanie sądu, to nieuczciwość — zawołał Bolesław.

— Nie przeczę, że racya znajduje się po stronie pańskiej, — mówił Chłodziński — że tak być nie powinno, ale cóż chcesz, ludzie publiczni są tylko ludźmi. Posiadają i oni swoje drobne zazdrości i ambicjki, swoje sympatyje i antypatyje, którymi się dość często powodują.

Bolesławowi wydało się to dziwnem. Nie odpowiedział jednak nic, nie pragnąc dalszych objaśnień, gdyż to, co słyszał, wstrząsnęło dostatecznie gmachem jego marzeń.

— Abyś pan miał sposobność — dodał jeszcze Chłodziński — przypatrzeć się naszemu światu, zaprowadzę cię do pani Sędzickiej, u której zbieramy się w każde środy. A teraz słuchajmy, bo zaczyna się akt ostatni.

W akcie tym rozwiązał Otocky intrygę, wydawszy ku

okrećcie i zawołowana piękność marząca o kieszeniach swoich admiratorów, a wzdychająca do ślubnego kobierca. Wszystko... I to wszystko nadaje Hamburgowi ruch, jakiego nie szukaj gdzieindziej, elektryzuje go gorączką, jakiej nie czujesz w innych murach, zabarwia farbą jakiej nie dostrzeżesz pod innym niebem.

Zarozumiali niemcy, mówią że Hamburg to Wenecya. Tak jest; tylko Wenecya bez kanałów krętych, jak spekulacya finansistów, bez pałaców oryginalnych, jak strój śmiesznej emancypantki, bez kościołów wielkich i wspaniałych jak firmament niebieski. Ale za to ma Hamburg giełdę, jakiej nie zobaczysz na lagunach, ma teatr jakiemu równy chyba w stolicach Europy się znajdzie, ma zwierzyniec, ogród botaniczny, jakich nie widzisz u królowej Adryatyku. Atmosfera prozy ogarnia cię gdy po jego ulicach stąpasz, na każdym kroku słyszysz brzęk złota, wszędzie gdzie się obrócisz plusk wody krajanej na różne strony wiosłami miesza się z gardłowemi dźwięki ludu, który szczyt poezji widzi w worku.

Mimo to, Hamburg to Wenecya.

O księżycu! — gdy mrok nocy obejmie ziemię całą w uściski, a gwiazda dzienna ustąpi ci swego panowania, gdy wejdiesz spokojny i tajemniczy na widnokrąg niebieski i bladym okiem zaczniesz się spokojnie wszystkiemu przyglądać, o księżycu! — czy ty złośliwie nie uśmiechasz się z tego porównania?..

III.

Z Hamburga do Kiel, a z Kiel do Kopenhagi jedzie się na Körsör. Podróż morska trwa niecałe siedm godzin. Wyjeżdża się coś około północy, płynie się zrazu otwartem morzem, potem wśród wysp zagładających ci do okien twojej kajuty, widzi się dokoła mgłę, nad sobą utkane gwiazdami niebo, pod sobą sine i gęste morskie piany. Więcej nic. Do uszu zalatują ci już chropawe duńskie dźwięki, wielu bowiem w Holsztynie i Szelzwigu, tą drogą dostaje się do stolicy swojej ojczyzny. Wsłuchujesz się uważnie w te dźwięki, ale ich nie rozumiesz, język duński nie podobny jest bowiem do niemieckiego. I te siedm godzin wśród czuwania i półsnu przechodzą ci jak jedna chwilka, w przepaść przeszłości zapadają się jak grom, — zaledwie masz czas zorientować się w pośród jakiego przebywasz świata, statek gwizdże, ruch majtków staje się przyspieszonym, jesteś w Körsör.

Körsör małeńka osada, leży na krańcu Zelandyi. Na drugim krańcu tej wyspy: Kiobenhayn. Odległość tych dwóch miast kilkogodzina. Droga żelazna wije się wśród pól zielonych, przerywa ogrody gęsto zasadzone owocowemi drzewami, zahacza o jezioro czy odnogę morską koło Roeskilde, zbacza następnie nieco w południowo wschodnią stronę, i urywa się u wrót miasta, słynnego bogactwem swoich naukowych zbiorów, ofiarnością na cele narodowe swoich obywateli. Lat temu dziesiątki wrzało tu nieledwie

ogólnemu zadowoleniu publiczności, dwie Numy za dwóch Pompiliuszów. Aż sześć razy wywoływano wykonawców. Musieli stawać przed kinkietami jeszcze wtedy, kiedy się już sala wypróżniła. Tak życzył sobie paradyz, pan i władca wszystkich teatrów.

Gdy się Bolesław znalazł w swoim mieszkaniu, w hotelu Europejskim, rzucił się nasamprzód na sofę i wyciągnął. Czuł się nadzwyczaj zmęczonym. Natężone słuchanie sztuki, uważne śledzenie gry aktorów, rozmowa z Bogackim i Chłodzińskim, setki nowych wrażeń, nieznanym mu dawniej pojęć przygniotły go swym ciężarem. Reszty dokonało gorąco podzwrotnikowe i zgęszczone powietrze, panujące w sali „Rozmaitości“.

Przymknął powieki i odpoczywał po niezwyklej robocie.

Obrazy minionego wieczoru przesuwają się przed jego oczami. Widział mnóstwo ludzi, słyszał naokoło siebie szepoty, nagle huknęły oklaski i na scenie ukazała się Miłęcka.

— Jaka ona piękna! — mówił półgłosem.

Prawie równocześnie zerwał się z kanapy.

— Marzenie rozbiera mnie, odurza — wyszeptał i poszedł do biurka.

Miał pisać? Co tu napisać? Otocky zna scenę bardzo dobrze i wie, że zręcznie prowadzona i podtrzymywana bajka stanowi główną tajemnicę powodzenia utworu scenicznego.

jak w ulu, miasto to było na ustach wszystkich, ztąd bowiem jak ze słońca promienie, szły iskry bohaterskiego oporu w pamiętnej wojnie. Dziś tu cicho, a obrońcy całosci Danii położyli się do grobu.

Po drodze do Kopenhagi masz Roeskilde. Święte to miejsce dla duńczyków. Tu leżą snem nieprzespanym ich królowie. Leżą w kościele pięknym, w sarkofagach wspinających, otoczeni bogato dokoła światłem dziennym, zagląającym do ich trumien przez obszerne z zewnątrz okna.

Jasno tu i pięknie gdzie okiem rzucisz, trumny stoją nie w podziemiach lecz w kościele, miejsca dokoła dużo. Tłumy ludu przyjsć tu mogą do swoich królów, patrzeć na nich i obcować całemi godzinami z nimi, mówić im o tem co dziś jest, pytać ich o to, co wczoraj było.

Kopenhaga leży tuż nad brzegiem morza. Zakreśla półkole przerwane tu i owdzie wstęgami wód wciskającymi się głęboko do progów jej domów, wód pokrytych gęsto statkami i przeciętych liniami mostów. Gdy do niej od strony lądu dojeżdżasz, zdala już widzisz że to jest stolica. Ludzie, których na całej linii do Kōrsør spostrzegasz mało, tu snują się w wielkiej liczbie, domy, które z rzadka tylko witają przejeżdżającego po tej drodze by go zaraz pożegnać, tu gęstą masą stoją nad brzegiem morza, przeglądając się w zwierciadle jego wód i nie ruszają się z miejsca. Do tego tłum tragarzy na kolejowym dworcu, setki dorożek snujących się po placu przytkającym do niego, ruch gorączkowy ogarniający sobą wszystko, wymownie świadczą że na całej przestrzeni od Hamburga, pierwsze to wielkie i wspaniałe miasto, w którym wysiąść i zatrzymać się warto.

Istotnie warto. Dwukrotnie byłem w Kopenhadze, raz jadąc do Norwegii, drugi raz powracając do domu, widziałem przed zwiedzeniem jej wiele, a po zwiedzeniu jeszcze więcej, — nie widziałem przecież miasta któreby na tak niewielkiej przestrzeni, tyle zgromadziło skarbów sztuki, nauki i miejsc zabawy. Bo policzmy: Muzeum Thorwaldsena, Muzeum starożytności północnych, Muzeum Rosenbergu, Biblioteka, Galeria obrazów i Tivoli, w którym jest wszystko, co gdzieindziej mieści się w kilkunastu oddzielnych zakładach, a którego zadaniem jest rozerwać cię w popołudniowych godzinach, gdy się znużysz rankiem zwiedzaniem sal gdzie Apollo lub Minerwa panują. O tych skarbach pomówimy oddzielnie, tu tylko powiem że i Berlin i Paryż nie powstydzilyby się cudzoziemców, gdyby jakiego bóstwa rzządzeniem, do ich murów dostały się one przypadkiem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

LICHWIARZE WARSZAWSKY.

(Szkice z życia).

IV.

— Ja panu co powiem... Dziś jest u mnie wielki raut; śpiewać będą najpierwsze artyści, a deklamować najgrubsze aktory. Teatr to jest mój świat, ja mogę to powiedzieć; ja artystów lubię — i dla tego jak ja daję raut, to zawsze z artystami. Przyjdź pan, nie będziesz pan żałował; ja umiem wystąpić i lubię wystąpić. Myślisz pan że dam ładajakie wino, ja dam coś fein. Stary szampan co jeszcze króla Jagiellogo pamięta, a maślacz, aj, jaki maślacz! z przeszłoro-cznego zbioru. Myślisz pan, że nie będzie kolacya? Same dzikie ptaki i dzikie zajace. U mnie, choć się nie lubię chwalić, przyjęcie jest takie, jak u najpierwszych bankierów i hrabiów. Spytaj się pan tych co u mnie bywają, niech powiedzą sami, jakie ja im daję cygara. Ja nie potrzebuję się chwalić, ale takich cygar pan z pewnością nigdy jeszcze w życiu swojem nie paliłeś! Ja panu co powiem, kto lubi dobre cygara, to potrzebuje mieć koniecznie ciotkę w Hamburgu. Ja mam taką ciotkę. Ona mi przywozi po kilka setek dwa razy do roku, a wiesz pan jak ona przewozi. No — te nasze kobiety to są bardzo dowcipne, one wszystko potrafią w turniurze przeszwarcować, ha! ha! To cygaro, które możesz pan u mnie dostać, jest dobre cygaro! Ja się na tem znam. Nie powiem panu wiele mnie ono kosztuje, ale okropnie drogo... No, co robić? kto żyje w artystycznym świecie musi po pańsku żyć — o bo artyści mają bardzo grymaśny, delikatny gust. Oni lubią jeść ostrygi, dzikie przepiórki, wiewiórki, homar! Wiesz pan co to jest homar? Taki wielki rak co jego zagranicą łapią. Ja to znam. A wiesz pan co artyści lubią pić? Oni lubią kruszon, oni lubią szampan, bardzo lubią szampan, wielkie marki! Kto zna lepiej artystów niż ja? Ja w teatrze jestem dwa razy na dzień, rano jak oni idą na próbę, to ja zawsze stoję pod filarami — potrzebuję się z nimi spotykać, — a wieczorem bywam na przedstawieniu. Rzadko kiedy żebym ja w teatrze nie był. I moja żona bywa też. Ja bardzo lubię sztukę, nawet sam jestem potrochu artysta. Patrzysz pan jaki ja jestem artysta? — na wszystkie cztery boki: śpiewać, mogę śpiewać; grać rolę, jabym też potrafił grać rolę — ale nie lubię się popisywać. Czasem, w domu, to ja śpiewam. Mierzwiński chwali się że bierze c, ja się nie chwale, ale jakbym koniecznie chciał, tobym także wziął. Ja to czuję, wiem że mam silny organ i dobrą transmisyję. Czy pan słyszałeś jak ja śpiewam ten sławny kawałek z „Carmen“, albo „Szumią sobie jodły“? Spytaj się pan mojej żony, niech ona powie.

Co tu gadać, ja śpiewam jak lokomotywa. Mam siłę. Przyjdź pan na raut, bardzo proszę, będziesz pan miał do-

— A to z drukarni „Gwiazdy“ — odpowiedział piskliwy głosik.

— Czego chcesz?

— Pan redaktor prosi o skrypt.

Bolesław wyskoczył z łóżka i otworzył posłańcowi. Do pokoju wszedł mały, blade chłopczyzna, obdarty i umorusany.

— Dzień dobry panu! — odezwał się śmiało.

— Dzień dobry, mój chłopcze. Tak od samego rana biegasz po mieście?

— Eh, byłem już dziś u trzech panów, a nie dali mi ani kartki.

— A to dlaczego?

— Bo nie napisali, proszę pana. Jeden ściągnął mnie butem przez plecy, a drugi wrzasnął, jak gdyby się wściekł. Czasem muszę chodzić trzy razy zanim coś wydostanę.

— Odemnie nie wyjdiesz z pustymi rękami — wyrzekł Bolesław, podając chłopcu rękopis i kilka drobnych monet.

Chłopiec podskoczył, wyciął gołemi piętami hołubca i runął na korytarz. Bolesław słyszał jak poświstywał wesoło.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

go. Trudno go za to ganić. Jest to jego siła i zasługa, bo wprawę tę daje jedynie praca, studjum. Trzeba tę zaletę podnieść i oddać autorowi, co mu się należy.

Ale jego postacie cuchną jakąś stęchlizną! Są to wytwory gnijącej cywilizacji, wyzyskanej niewłaściwie przez burżuazję w służbie wygodnego życia. Te kobiety myślą jedynie o przyjemnostkach, ci mężczyźni mogliby zasiąść na ławie oskarżonych, gdyby prawo nie ściagało tylko łotrów, przekraczających jawnie paragrafy kodeksu karnego. Na co taka literatura?

Młode serce Bolesława wykreślało teatrowi inne zadanie, szlachetniejsze cele. Ono nie uznawało sztuki dla sztuki. Więc usiadł i rzucił na papier nie ścisłą recenzję, lecz płomienny artykuł, zwrócony przeciw zubożonemu mieszczaństwu, przeciw samolubnej etyce epizjorów.

Pisał szybko, bez wytchnienia, nerwami, krwią, więc kiedy po dwóch godzinach położył pod artykułem nazwisko swoje, wypadło mu pióro samo z krzepnącej dłoni, a głowa osunęła się bezwładnie na poręcz fotelu.

Był niesłuchanie strudzony. Zimny pot zrosił mu czoło. Spał twardo, jak martwy sprzęt.

Nazajutrz zbudziło go głośne stukanie do drzwi.

— Kto tam? — zawołał gniewny na natręta, który mu przerwał dobrze zasłużony wypoczynek.

skonała zabawę. Lubisz pan artystyczny świat? Kto jego nie lubi? A wiesz pan czyj to świat?—to mój świat, mój własny świat. Pan nie możesz mieć wyobrażenia ile mnie on kosztuje. Ale cóż ja mam robić?—każdy ma swoją słabość—ja do artystów mam słabość! Oni mają talent, śpiewają pięknie, grają komedye—no wiesz pan jak oni grają!—ale mają przytem jeden feler. Mało który z nich wie że dwa i trzy to jest pięć.

Na moje sumienie: żeby nie ja toby oni już dawno zginęli. Mnie się należy od Warszawy duża wdzięczność, wielkie podziękowanie mi się należy. Pytasz pan za co? Za to że Warszawa ma teatr. Jak się panu zdaje kto utrzymuje cały ten kram? Powiadasz pan że publiczność, która płaci za krzesła i łoże; nie panie, to nie publiczność, to ja! Co byłby teatr bez artystów, byłaby pusta buda, a artyści bezemnie wcaleby nie byli.

Kto im daje pensyę? Kto im płaci *fe!* Powiadasz pan że dyrekcya? Prawda—ale kiedy ona płaci? Raz na miesiąc, pierwszego; a ja zawsze płacę, kiedy oni chcą to ja płacę, pierwszego, dziesiątego, dwudziestego trzeciego, jak się któremu podoba. Chcą pensyę, ja im daję pensyę, chcą *fe*, ja im dam i *fe*, dla czego nie mam im dać *fe!*

Nawet podwyżkę, benefis, wszystko dam. Czy jest sposób odmówić takim ludziom? Kto inny możeby mógł—ja nie. Myślisz pan że ja z tego bardzo dużo mam. Spytaj się pan ich. To jest wcale nie dużo, ot aby żyć. Porządnie żyć, tak jak się należy.

Czasem to ja ich lubię do siebie prosić, lubię zrobić raut, z deklamacyą, ze śpiewem. Wiesz pan co dziś będzie? Same niespodzianki, kolacya, szampan, cygaro. Ja lubię sobie zabawić w swoim świecie, a to jest mój świat. Ja przyjaźnię się z najpierwszymi artystami — ale nie jestem pyszny, nie gardzę nikim. Każdy co w teatrze pracuje może do mnie przyjść — ja nie pytam czy on stoi na afiszu, czy nie stoi, czy on z orkiestry, czy z chóru, czy taki, czy owaki. Jak on tylko z teatru, to może śmiało przyjść, może iść jak w dym, ja mam dla każdego serce, ja jestem taki teatralny ojciec. Cały teatr utrzymuje. Czasem to bywa cała komedya. Pan wiesz że nietylko u zwyczajnego człowieka, ale i w największych bankach kredyt ma swój koniec. Kto wyczerpał kredyt, to już mu wekslu nie dyskontują. Pan to wiesz—i ja to także wiem; ale artyści nie lubią takich rzeczy rozumieć. Ja panu powiem oni nawet mają obrzydliwość do kodeksu handlowego, do rachunków, do weksłów, do takich interesów, które każdy mały dzieciak powinien się uczyć w szkółce.

To cała komedya! Taki artysta, jak ja już mu nie mogę dać, to on do mnie przychodzi. On siada, on wzdycha, on opowiada co ma kłopot. Zobacz pan jego wtedy, to jest gra, aj, to jest „szpil“. Ja się zawzinam, ja nie chcę, ja długo nie chcę, ale oni mnie znają. Oni wiedzą że ja mam miękkie serce i jak kto ma kłopot, jak kto potrzebuje, a da dobrego poręczyciela, to ja nigdy nie odmawiam. Dla czego mam odmówić? Czasem miewam z nimi ambaras, muszę którego pozwać, zrobić mu areszt na pensyę, nastraszyć go komornikiem, ale zawsze grzecznie, zawsze delikatnie. Ja jestem dla nich jak ojciec, a który ojciec nie potrzebuje się czasem na dziecko rozniewać? Oni mnie wszyscy kochają, bo bezemnie nie mogliby żyć na świecie. Przyjdź pan na raut, ja pana bardzo proszę, będzie bardzo ładna deklamacya. Pan wątpisz? Powiadasz pan że oni nie przyjdą, że oni mi pokażą swoją fanaberyę? Nie wierz pan temu, oni mogą sobie myśleć że ja lichwiarz, mogą nawet między sobą tak mówić, ja im nie bronię. Ale skoro mnie się podoba prosić ich żeby przyszli, to oni muszą przyjść, bo jak ja proszę, to tak jakbym ja kazał, a kto mi zabroni moim ludziom kazać?!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z KRONIKI NAUKOWEJ.

Nowy kolos Rodyjski. — Buława przedhistoryczna. — Komunikacya telefoniczna na wielkich odległościach. — Praktyczne zastosowanie fonografu.

Nowy kolos Rodyjski zbudowanym zostanie w Paryżu. Jak wiadomo, zatwierdzonym już dawno został projekt wystawienia wieży 300 metrów (1040 stóp polskich) wysokości, która na wystawie paryskiej w 1889 roku wznosić się będzie wśród budowli, jakie zajmą w tym czasie rozległą przestrzeń Pola Marsowego i miejscowości sąsiednich. Szczyt tej fenomenalnej wieży, patentowanej konstrukcyi, pomysłu panów Eiffel, Nouguiery i Koechlina, ginąć będzie w obłokach.

Będzie ona tworzyła piramidę o czterech węgłach wygiętych i połączonych z sobą, w części dolnej, łukami mającemi po 50 metrów wysokości; wnosząc jednak z projektu, całość nie będzie wywierała imponującego, estetycznego wrażenia.

Na pierwszym piętrze, oddalonym o 60 stóp od poziomu, ma się znajdować galerya oszklona, 15 metrów szeroka, a w ogóle zajmująca, łącznie z balkonami, 4200 metrów powierzchni. W galeryi tej urządzone zostaną bufety, restauracya, cukiernie, sale i t. p. Na drugim piętrze, sięgającym blisko 150 metrów wysokości, mieścić się będzie druga sala oszklona.

Ze szczytu wieży uwieńczonego kopułą, a mianowicie z balkonu o powierzchni 60 metrów, będzie można podziwiać rozległą, bo obejmującą 100 kilometrów, panoramę.

Cztery windy unosić będą zwiędających na taras szczytowy, z szybkością jednego metra na sekundę, czyli że cała podróż, od dołu do wierzchołka wieży, zajmie 6 do 7 minut. Dla chcących zaś użyć pieszej na szczyt przechadki, urządzone będą wschody.

Nie jest nam znanym mechanizm windowy, a szkoda, bo windy unoszące się do wysokości 300 metrów, muszą być chyba arcydziełem mechaniki.

Kolos o jakim mówimy zajmie tak rozległy obszar ziemi, że ciśnienie jakie wywierać będzie na jej powierzchnię wyniesie tylko 22 kilogrammy na jeden centymetr kwadratowy; — odpowiada to ciśnieniu, wywieranemu na ziemię przez gruby, 10 metrów wysoki, mur z cegły.

Opór znowu, jaki stawi on wiatrom na wypadek burzy, obliczonym został w stosunku 300 kilogramów ciśnienia na 1 metr kwadratowy, co odpowiadałoby ciśnieniu wywieranemu na całą wieżę przez 2,250,000 kilogramów.

Najgwałtowniejsze burze, jakie dotąd obserwowano w Paryżu, nie wywierały nigdy większego parcia w prądzie wiatru ponad 150 kilogramów na 1 metr kwadratowy. Można tedy przypuszczać, że gdyby w stolicy Francyi srożył się wiatr z siłą parcia 300 kilogr., to runęłyby tam wszystkie budowle, a jedna tylko ta wieża oparłaby się naporowi huraganu.

Aby powziąć wyobrażenie o kolosalności tej budowli, tak dziwnej, jak i wiele innych dzisiaj rzeczy we Francyi — dość porównać ją z innemi olbrzymami architektonicznymi Europy. Porównanie to przedstawia się w sposób następujący:

Wieża Nôtre-Dame w Paryżu ma wysokości 66 metrów	
Panteon	79 "
Dom Inwalidów	105 "
Kościół S-go Piotra w Rzymie	132 "
Katedra w Wiedniu	138 "
Katedra Strasburska	142 "
Wielka Piramida egipska	146 "
Katedra w Rouen	150 "
Katedra Kolonńska	159 "
Wieża wystawy	300 "

Czyli że dopiero pięć razy wzięta wysokość kościoła Nôtre-Dame dosięga szczytu wieży Eiffla.

Obawiano się, że olbrzymia masa metalu składająca wieżę, może być, w czasie burzy, narażoną pospołu z sąsiednimi budowlami, na niebezpieczeństwo piorunów; obawa ta jednakże jest płonną, bowiem odpowiednia liczba przewodników, połączona z warstwą wodonośną, na jakiej grunt paryzki spoczywa, będzie zapewniającym zupełne bezpieczeństwo konduktorem.

Koszt budowy nowego tego kolosa Rodyjskiego wynosić będzie około 7,000,000 franków.

— Archeolog Paignon wykrył w grocie Montgaudier cenne zabytki sztuki z czasów przedhistorycznych, a w szczególności z epoki dilmoidalnej. Wpóśród szczątków zwierzęcych i różnych narzędzi, znalazł on artystycznie wyrzeźbioną z rogu rena buławę. Wykończenie tej buławy jest poprostu mistrzowskie.

Z jednej strony widzimy wyrzeźbione misternie dwie foki, mniejszą i większą; mniejsza widoczna jest w całości, większa tylko w części. Głowa mniejszego zwłaszcza pletwonoga odznacza się wielkiem podobieństwem tak jak i łapy; każda łapa opatrzoną jest pięcioma palcami. Całe ciało zwierzęcia pokrywa włos. Jedyną wadą jest zbyt długi ogon tej foki.

Przed drugą, tą większą, foką, artysta umieścił rybę, prawdopodobnie łososia lub pstrąga.

Na odwrotnej stronie buławy znajdujemy wyobrażenia dwóch jakichś żyłatek wysmukłych, podługowatych. Ponieważ jednak, oprócz głowy jednego a końca ogona drugiego,

całość ich ciał nie jest widoczną, więc na domysł tylko można powiedzieć, że są to pewnie węgorze.

Na tejże stronie buławy mieszczą się jeszcze trzy postacie zwierząt.

Paignon ofiarował ciekawy ten okaz paryżkiemu Muzeum historii naturalnej, wraz z wielu innymi przedmiotami wykopanymi w tej grocie.

— Między Paryżem a Bruksellą, zaprowadzono stałą komunikację telefoniczną;— linia łącząca te dwa miasta jest powietrzna, z wyłączeniem przestrzeni od bramy Vilette w Paryżu do Giełdy, gdzie przeprowadzono ją pod ziemią. Druty są z brązu krzemionkowego i mają 3 milimetry średnicy.

Próbowano przesłać tą drogą do Brukselli tony muzyczne Opery Paryżkiej i próby powiodły się najzupełniej. Królowa belgijska wysłuchała w swym pałacu przez telefon cały akt „Fausta“.

Z równem powodzeniem połączono Paryż z Antwerpią i z Rouen.

I Niemcy korzystają już dzisiaj z telefonii międzynarodowej. Dotąd połączyli Berlin tylko z Frankfurtem, ale mają zamiar połączyć go jeszcze z Monachium, Wirtembergiem, Stugardem, Wiedniem, etc.

W Anglii wiele już miast koresponduje przez telefon z Londynem. Używają tam drutu z miedzi twardej, a zaprowadzaniem komunikacji telefonicznej zajmuje się Towarzystwo „Northern District Telephone Company“. Sunderland łączy się już przez Newcastle i Middlesborough z Dartingtonem. Linia telefoniczna dosięga już w Anglii 520 kilometrów długości.

— Fonograf, znakomity wynalazek Edisona, pozostawał dotąd prawie bez żadnego zastosowania; obecnie, w dziennikach amerykańskich znajdujemy wiadomość, że Summer Tainter, dawny towarzysz pracy Edisona, bawidełko to ulepszył i przerobił na przyrząd, z którego świat handlowy pewnie wkrótce skorzysta.

W przyrządzie Taintera wyrazy nie przechodzą na papier cynowy, lecz na cienką blaszkę woskową, w postaci rury pomieszczonej na cylindrze. Każda z tych rur może przyjąć tysiąc wyrazów i odtworzyć je z wielką siłą i czystością. Kupiec naprzykład może fonografować swe listy na tych rurach i wysłać je swym korespondentom.

Dość jest zakręcić korbką, a przyrząd powtórzy fonogram tyle razy, ile zechcemy.

Zastosowanie fonografu może być najrozmaitsze; — słowa ojca, brata, żony, oddalających się w długą podróż, lub opuszczających ten świat doczesny, przyrząd zatrzymuje i na żądanie wypowiada dokładnie. Po upływie dwóch, trzech, dziesięciu lat, syn może usłyszeć ostatnie słowa ojca, spoczywającego już w grobie.

Zaiste, fonograf jest zdumiewającym wynalazkiem!
W. N.

NA POSTERUNKU.

Jeden więcej.—Krytyka „Roli“ w książce p. Jeża. — Rzekomy sąd Kraszewskiego. — Fikcyjne słowa i prawdziwe listy. — Czemu wierzyć? — Czego nie mógł czynić Kraszewski— a co potrafi pan Jeż. — Znowu słowa i listy. — Uraza pana Jeża do „Roli“ z powodu jego tkliwej „opieki“ nad umierającym Kraszewskim. — Zemsta bez taktu. — Chybiony zamach i... zepsuty efekt. — Jeszcze o słowach i dowodach. — Niepotrzebna kompromitacja.

Choćbym nie chciał — muszę. Muszę, przez samą cześć dla prawdy, odeprzeć nowy atak, czyli właściwiej nowy zamach na „Role“. Było ich już niemało, znalazł się przeto jeden więcej—nowy. Od czegoż pomysłowość? Tym razem wszakże wystąpił nie zwykły, przeciętny postępowiec, w organiku jakimś żydowskim, ale najstarszy, osiwiwały „wódz“ pozytywistów warszawskich — Teodor Tomasz Jeż, w osobnej swojej książce.

Ano, takiemu przecież nestorowi postępu i w dodatku jubilatowi odpowiedzieć wypada.

Pan Jeż napisał, a panowie młodzi wydali książeczkę p. t. „Wspomnienia o Kraszewskim“. We „wspomnieniach“ tych autor chce gwałtem pasować zmarłego pisarza na postępowca i bezwyznaniowca; choćby więc z tego względu książeczka to ciekawa. Najciekawszym jednak, jak dla nas, jest sąd Kraszewskiego o „Roli“. Zkąd on się tam wziął, jeżeli go nie ma o żadnym innym piśmie — nie wiem, dość że jest.

„Nie okazywał się Kraszewski — pisze pan Jeż — i na niektóre z pism konserwatywnych łaskawym. Na wzmiankę naprzykład (w gawędce z p. Jeżem) o Roli rzucił się (!) i zawołał:

„— To niewiedzieć co!... niewiedzieć co!... W tem za grosz sensu nie ma.

„Stałem w obronie Roli—opowiada dalej p. Jeż— tłumacząc pożyteczność jej tem, że niekiedy do poruszenia żółci służy.“

Oto i wszystko; a co to za znamienita krytyka poważnego pisarza w poważnym wydawnictwie! Szach, mach i już! Praca, nie już pojedynczej osobistości, ale całego koła ludzi znanych w literaturze — nie ma sensu i basta. Niema za grosz sensu w pracach: Blizińskiego, Merunowicza, Junoszy, Wł. Dębickiego, Choińskiego, St. Bełzy, Wilczyńskiego, Rogosza, Wiercieńskiego, Półkozica etc.; jest tylko sens w artykułach T. T. Jeża—o Słowiańszczyźnie — drukowanych w ciągu lat 3-eh z górą w tejże samej Roli. Wprawdzie p. Jeż i tego zastrzeżenia nie zrobił; domyślam się jednak, iż nie uczynił tego przez proste zapomnienie, o co przy takich sądach czambułowych nie trudno.

Zresztą we wszystkim innym niema sensu, gdyż tak chce... pan Jeż, ale nie Kraszewski. Nie Kraszewski — powtarzam; nie Kraszewski, nietylko dlatego, że na wydawanie sądów z „senssem“ podobnym był on za poważnym, nietylko dlatego, że dzisiejszego redaktora „Roli“ darzył już oddawna więcej niż życzliwym uznaniem, ale przede wszystkim dlatego, że pisarz stojący na tak wysokim stanowisku, na jakim stał Kraszewski, pisarz otoczony tak wielką czcią ogółu, nie mógł co innego myśleć, co innego mówić, a co innego pisać. Nie uwierzmy w to nigdy.

A oto, naprzykład, co pisał Kraszewski w różnych czasach do wydawcy i redaktora onego pisma „bez sensu“.

„Jak tylko nadejdzie broszura („Żydzi, Niemcy i my“) wezmę się zaraz do czytania, gdyż samo wrażenie jakie zrobiła w kraju nadaje jej wielkie znaczenie“ (Drezno dnia 9 Marca 1877 roku.)

W innym znowu liście pisał czcigodny autor „Chaty za wsią“:

„Z prawdziwą wdzięcznością odebrałem książeczkę (ludową: „Kto jest Kraszewski i co zrobił?“) którą mnie obdarzyłeś szanowny, dobry panie. Nie umiem podziękować nawet, chyba tem wszystko mówię, starodawnem — Bóg zapłać, które się dziś nam zimnem wydaje, ale niegdyś miało znaczenie wielkie, bo uznawało wypłatę należną tak ogromną, że siły człowieka przechodziła i przekazywało ją — Bogu.

„Otóż i ja muszę chyba panu tak dziękować i życzyć ażeby Mu wszystkie Jego prace — z ogólnej skarbnicy wypłacono — uznaniem, wdzięcznością.“ (Drezno d. 12 Listopada 1878 r.)

Wreszcie, na przesłany przez redaktora „Roli“ — jej program wraz z zaproszeniem do współpracownictwa, w dziale belletrystycznym, Kraszewski, ciężko już naówczas chory, odpowiada:

„Szanowny Panie! Przedewszystkiem muszę rozpocząć list zbyt długą może dla Was, ale w mojem położeniu konieczną wiadomością, że piszę chory ciężko, ledwie się z łóżka podniosłszy — po ośmiu tygodniach bolesnych cierpień. Mój mnie więc za wytłumaczonego, że gdy pisanie przerywa sykanie z bólu, list nie będzie zbyt starannie wystylizowany.

„Wiek“ niedawno podał w wątpliwość chorobę „moją, widząc tu i owdzie coś mojego drukowanego, „ale są to rzeczy pisane nim zapadłem.

„A teraz ad rem.

„Choćbyśmy się z Panem różnili w zapatrywaniu na niektóre kwestye społeczne — mianowicie żydowską—spodziewam się, że nie wątpisz Pan iż Jego pracę około oświaty, Jego poczciwy trud umiem należycie ocenić. Całe życie moje wojowałem o to, a by każdemu wolno było jawnie wypowiedać swe przekonania i ich bronić. Zatem niechybnie stało na przeszkodzie „memu współpracownictwu — około Roli — gdybym „ja dziś zdolnym był do pracy.“

Następnie, czcigodny pisarz, skarżąc się jeszcze na straszliwe, dokuczające mu cierpienia, tak kończy:

„Życzę z duszy, czytając program Roli, „aby się panu udało szczęśliwie go wypełnić — i spodziewam się, że przy Jego wytrwałości i doświadczeniu — dokonasz co zamierzasz.

„Będzie-li mi lepiej, postaram się przysłać „coś do Roli, którą radbym odbierać i czytać.“ (Drezno dnia 3 Grudnia 1882 roku.)

Musieliśmy ze skarbczyka pamiątek wydobyć te słowa

i powołać się na nie. Musieliśmy, bo gdyby nam nie szło już o obronę napadniętego pisma, gdyby nie szło nam nawet o nadużywanie nazwiska Kraszewskiego, dla zdyskredytowania tegoż pisma, niemilego p. Jeżowi i jego „stronictwu“, to jeszcze obowiązkiem naszym byłoby zaprotestować przeciw krzywdzącemu zarzutowi, jakim pan Jeż zmarłego pisarza z lekkim sercem obarcza — zarzutowi obłądy. Nie dość było panu Jeżowi czcigodnego starca, człowieka wiary i uczuć religijnych, podać za bezwyznaniowca, chciałby go zrobić jeszcze — faryzeuszem. To nieprawda! — Kraszewski takim nie był. Nie mógł on „rzucić się“ i wydawać tak gwałtownie potępiającego sądu o piśmie, kierownika którego, darzył od dawna sympatją życzliwą — znając przecież kierunek jego prac publicystycznych — a nadewszystko o piśmie, którego nie zmieniony dotąd w niczem program uznawał i „życzył z duszy“ jego „wypełnienia“. Nie mógł, słowem, Kraszewski pisać tak, a mówić i naczej.

Potrafi to natomiast p. Jeż, na co — niestety — mamy znowu, nie słowa tylko, lecz d o w o d y.

Pomijam już okoliczność, że p. Jeż, w ciągu lat czterech niemal, drukował w „Roli“ swe prace (Bulgaria, Bośnia i Hercegowina, Dalmacja, Krocya, Serbia i t. d.) które, pomimo pousuwania z nich zwrotów anti-kościelnych i anti-religijnych, miały przecież „sens“, a nawet dlatego właśnie miały „sens“ nierównie lepszy. Pomijam, mówię, tę okoliczność — gdyż p. Jeż ma zwyczaj pisać wszędzie, nie wyłączając nawet pism tak ściśle specjalnych jak... „Tygodnik Kucharski“ — a podniosę inną:

W jednym z swych listów, jakimi zaszczycił redaktora „Roli“ — p. Jeż pisze między innymi:

„Do R o l i, która mnie interesuje, chętnie będę, od czasu do czasu, dawał poglądy na państewka na „półwyspie Bałkańskim. Jest to przedmiot zajmujący.

„Co się R o l i tyczy, zdaje mi się, że zajęła ona „miejsce, które zajętem nie było i z tego powodu wielkie może oddać usługi. Bądź co bądź, jest ona znamieniem i podniętą ruchu, który niepożądanym być nie może, z tego względu, że nie fatalniej na piśmiennictwo peryodyczne nie wpływa, jak senność. A piśmiennictwo nasze do senności skłonność ma wielką. Obyż „jeno powiodło się Sz. Panu utrzymać się na stanowiskach Składając życzenie to, zasylam Wam, Szanowny „Panie“ i t. d. (Geneva 13 Lutego 1883 r.). (1)

Ponieważ list ten był pisany wówczas, gdy „Rola“ już była wydawaną, i ponieważ od pierwszego numeru ani na jotę od programu swego nie odstąpiła, śmiem przeto zapytać, kiedy p. Jeż pisał szczerze i z przekonania: czy w liście powyższym do redaktora „Roli“ — czy we „Wspomnieniach o Kraszewskim“?

Pojmuje że pan Jeż może czuć do „Roli“ urazę; gdy bowiem, dzięki tylko jego przypadkowej „opiece“, całe życie religijny starzec, skonał bez ostatniej pociechy religijnej, i gdy p. Jeż chlubił się jeszcze publicznie z tej „ludzkości“ swojej — „Rola“ to właśnie wystąpiła przeciw temu z większą stanowczością, niż p. Jeż, ze względu na swoje w niej współpracownictwo, mógł być przypuszczać. Ale jeżeli pan Jeż chciał się zemścić na „Roli“, mógł i to nawet uczynić z większym nieco takttem... Mógł uczynić to sam, bez powoływania się na dyskredytujące słowa zmarłych, którzy nie mogą, naturalnie, wstać z grobu i powiedzieć: nieprawda!

Tylko że tu szło właśnie o wywleczenie bodajby fikcyjnego sądu — o „Roli“ — zmarłego znakomitego pisarza. Co tam o „wsteczne“ tem piśmie powie jakiś nasz postępowiec, jakiś bezwyznaniowy F i n k e l s z a j g e c, lub inny nalewkowicz z „Przeglądu“ p. Wiślickiego, to już dziś nie robi wrażenia, temu nikt nie wierzy; ale co powiedział Kraszewski a potwierdził Jeż — to robi pewien efekt! — nieprawdaż?

Przyznaję, iż zamach był nawet obmyślany zrecznie — jeno cała szkoda że, jak wiele poprzednich, i on się nie udał. Za panem Jeżem tylko jego... słowa, za nami fakta i dowody piśmienne, nie wyłączając d o w o d ó w samego p. Jeża. Zamach się słowem nie powiódł, a pan Jeż skompromitował się wcale niepotrzebnie.

Kamienny.

Z CAŁEGO ŚWIATA.

Słówko o yankesach. — Bankructwo u nas a w Ameryce. — Amerykańscy bogacze i filantropi zarazem. — William Wilson Corcoran. — Translokacja Hotelu w Coney Island. — O smaku estetycznym yankesów, „La prière d'une vierge“ p. Tekli Bądarzewskiej, poeta chorwacki Imbrezak i zapytanie do naszych wielkich augurów sztuki. — Rozbiór państwa Maresnet. — O wilku i o Juliuszu Ferrym. — Wniosek rewizyjny konstytucyj francuzkiej i upadek gabinetu Tirarda. — Nowy gabinet Floquet'a. — Freycinet ministrem wojny. — Rozruchy w Bukareszcie. — Bratiano powtórnie podaje się do dymisji. — Nowy gabinet Rosetti'ego.

Ameryka jest krainą superlatywów. Dzieje się w niej mniej więcej to samo co u nas, tylko wszystko w stopniu najwyższym. Yankesi nie lubią połowiczności; u nich jak bogactwo to już całą gębą — jak nędza, to już taka, że jej nożem ciężko ukroić; mają nieograniczoną wolność jednostki i nieograniczony terroryzm rewolweru; pojedynki europejskie w porównaniu z ich pojedynkami są zabawką dziecinną; używać lubią co się zowie, ale obok tego pogarda a raczej lekceważenie życia dochodzi u nich do punktu niemożliwego; koleje takie jak linia idąca od zachodniego do wschodniego wybrzeża, nawskróś przez cały olbrzymi ich ład stały, budują w ciągu kilku miesięcy; potem łamią na nich karki, lokomotywy wyskakują im co chwila z szyn, niemal luźnie na ziemi położonych; całe pociągi spadają w przepaście z mostów chwiejących się od wiatru, ale to nic — oni jeżdżą sobie niemi spokojniej aniżeli my, nie wymawiając, tramwajami. Wszystko u nich wzrasta do śmiesznie kolosalnych rozmiarów.

Naprzykład bankructwo — wielka rzecz! Toć u nas tak zwane rzeczenie (?) plajty, mianowicie w okolicach Nalewek, są rzeczą tak pospolitą, jak kaszel i katar, na jesienu i mamy tam dobrych majstrów od tego, — ale konia z rzedem za takiego plajciarza, coby potrafił tak zbankrutować, jak pewien bankier w San-Francisko, którego passywa przedstawiały 850,000 dolarów, a aktywa — półczwarta (3¹/₂) dolara....

Zato jak któremu ręką pójdzie, to miliony same garzną się do niego, a przyznać trzeba, że między temi dziećmi fortuny bywają ludzie wielkiego serca, szczodrej a kochającej ludzkość natury. Z pośród bogaczy amerykańskich wyszło kilku filantropów prawdziwie wielkiego pokroju, a jeden z nich, William Wilson Corcoran, umarł świeżo w Washingtonie. Człowiek ten w Georgetown urządził i podarował miastu cmentarz, który go kosztował 120,000 dolarów; założył galerję swego imienia, wartą 300,000 dol. a na jej utrzymanie zostawił milion dolarów; 500,000 dol. ofiarował na założenie przytułku dla wykształconych a ubogich kobiet; akademii w Wirginii dał 200,000 dol. i znaczną bibliotekę. Prócz tego mnóstwo innych, pomniejszych ale zawsze dość znacznych sum rozdał rozmaitym zakładom filantropijnym i naukowym. Można powiedzieć, że pod koniec zwłaszcza, człowiek ten żył samą dobroczynnością. Takiego ze świecą nie znajdzie w Warszawie, — nawet na Nalewkach!

Nie ujrzymy też zapewne w Warszawie przeniesienia np. hotelu Europejskiego, dajmy na to za Wolską rogatkę. No, co prawda, to hotel Europejski nie jest tak zagrożony przez falę wiślaną, jak hotel Brighthon Beach w Coney Island, w amerykańskich kąpielach morskich, przez falę morską, która coraz bardziej podmula brzeg na którym on się wznosi. Otóż ten hotel, trochę większy od Europejskiego (tylko kilkanaście razy) zostanie podniesiony, włożony na 124 wagony stojące na sześciu torach kolejowych, i przez sześć lokomotyw zawieszony o parę kilometrów dalej... Szczerzej drogi, panie Hotel! podobno nawet twoi lokatorowie nie potrzebują się „deranzować“ na czas podróży i pozostać mogą spokojnie w swoich numerach.

To się nazywa: po amerykańsku. Tylko pod względem smaku estetycznego i znawstwa na polu sztuki wątpliwą mają u nas reputację yankesi; — ale czy słusznie?... Wprawdzie malarze, a raczej handlarze malarstwem umieli za drogie pieniądze wyrosłych nagle jak grzyby po deszczu Krezusów amerykańskich ubrać w obrazy wątpliwego pochodzenia i wartości, ale czyż się to i naszym nie od wczoraj Krezusom nie zdarza? A że w Ameryce niezmierniej popularności używa osławiona „La prière d'une vierge“ p. Tekli Bądarzewskiej, z czego nasi arystarchowie estetyczni śmiertelny zarzut robią Ameryce, to także niczego nie dowodzi, a raczej rodzi się wątpliwość, kto ma rację za sobą: panowie arystarchowie, czy panowie amerykanie?... Bez wątplenia żaden z utworów muzycznych nie miał tylu wydań co ta „Modlitwa dziewicy“, a świeżo jeden z celniejszych

(1) Listy te, tak ś. p. Kraszewskiego jak i p. Jeża, zachowujemy w oryginale i interesowanym każdej chwili okazać je możemy.

poetów chorwackich, Draguli Imbreczak, illustrował ją poematem, tak jak u nas Ujejski i inni illustrowali niektóre utwory Chopina. Cóż na to panowie od wielkiego ołtarza sztuki?... Bodaj czy nie ma słusznosci przysłowie, które mówi, że „nie to piękne, co piękne, ale to co się podobą“.

Jednemu z państw europejskich grozi poważne niebezpieczeństwo. Tym zagrożonym organizmem politycznym jest państwo — Moresnet. Co?.. nie słyszeliście państwo o takim zwierzu?... Ależ jest, jest takie państwo, leży między Akwisgranem a granicą belgijską, liczy aż — 1248 mieszkańców, i zostaje pod protektoratem Prus i Belgii. Otóż ci dwaj opiekunowie, postanowili... podzielić się swoim pupilem. Wszystko to dobrze i w porządku. ale nuż moresnetczycy stawiają opór?... Protektorowie w takim razie winni będą zamęcenia pokoju powszechnego.

„Nosił wilk, ponieśli i wilka“; przysłowie to stwierdził na sobie p. Juliusz Ferry, b. minister i prezes ministrów francuzkich, twórca ustaw antyzakonnych, bohater co śmiał się armii francuzką wojną z bezbronnymi muiichami. Ludność paryska tak go znieawidziła, że nie może się pokazać na ulicy, gdyż zaraz naokoło niego zrywają się wrzaski: „*A bas Ferry!*“ Przed kilkoma dniami jechał on w cudzym powozie, za pogrzebem ojca prezydenta Carnota; poznał go jednak ktoś i w jednej chwili tłum rzucił się ku powozowi, krzycząc: „*A l'eau Ferry!*“ Z trudnością udało się policyi ocalić mu życie. Gdyby uczucie zemsty mogło gościć w sercu prawdziwie chrześcijańskim, prześladowane przez Ferrego zakony mogłyby się uważać za pomszczone.

Francya przypomniała sobie potrosze dawną swoją rolę sprawczyni niespodzianek, i układającemu się wygodnie do świątecznego *dolce far niente* świata politycznemu urządziła *Prima Aprilis*. Gabinet Tirarda, któremu nigdy nie wróżono długiego życia, ale który zdawał się być właśnie umocnionym wskutek świeżo odniesionego nad Boulangerem zwycięstwa, dzięki temuż Boulangerowi, a raczej jego stronnictwu, w Piątek Wielki, na ostatniem przedświątecznem posiedzeniu Izby wywrócił koziołka.

Na posiedzeniu tem deputowani Laguerre i Pelletan, ze skrajnej lewicy, postawili wniosek rewizji konstytucyi, poparty przez bonapartystę Jolibois i monarchistę, księcia Larocheffoucauld-Bisaccia. Brisson i Goblet przemawiali przeciw wnioskowi, a mianowicie przeciw jego nagłości, której uznania domagali się wnioskodawcy. Tirard, uważając wniosek za nie będący na czasie, postawił kwestyę gabinetową. Mimo tego izba 268 głosami przeciw 237 uchwaliła nagłość wniosku, wskutek czego Tirard podał się do dymisji. Prezydent Carnot dymisję przyjął i misyję utworzenia nowego gabinetu poruczył Floquetowi.

Nowe ministerium już się ukonstytuowało, w składzie następującym: Floquet objął prezydium i sprawy wewnętrzne, Goblet sprawy zewnętrzne, Freycinet departament wojny, admirał Krantz dep. marynarki, Ferouillat sprawiedliwości, Peytral finansów, Lockroy oświaty, Deluns Montaud robót publicznych, Viette rolnictwa, Légrand handlu.

W gabinecie tym, prawie bezwzględnie radykalistycznym, najcharakterystyczniejszym jest powierzenie teki ministerium wojny Freycinetowi, człowiekowi cywilnemu, o rzeczach wojskowych nie mającemu wyobrażenia, znanemu zresztą ze swej polityki biernej na zewnątrz a nawet zmierzającej do zbliżenia się z Niemcami. Ma to oczywiście zaznaczać pokojowy *quand même* charakter nowego rządu.

Wielki tydzień był również świadkiem burzliwych scen w Bukareszcie, wywołanych przez opozycyę, która z rewolwerami w ręku wtargnęła na dziedziniec izby deputowanych, zkąd dopiero przez wojsko została wyparta. Dzienniki opozycyjne mówią o licznych ofiarach, rządowe o jednej tylko kobiecie, zabitej z rewolweru opozycyjnego.

Rozruch uśmierzono, ale mimo tego Bratiano podał się powtórnie i tym razem stanowczo do dymisji; król Karol powołał do utworzenia nowego gabinetu Ks. Ghikę, a gdy ten mandatu nie przyjął, poruczył go Rosettiemu, który także złożył ministerium: Rosetti obok przewodnictwa wziął tekę spraw wewnętrznych, Carp spraw zewnętrznych, Ghermani finansów, ks. Stirbej robót publicznych. Aleksander Marghiloman sprawiedliwości, jenerał Barossi wojny, Majoresku oświaty i tymczasowo wojny.

Celniejszych aresztowanych podczas zaburzeń, wypuszczono na wolność; można to uważać za wskazówkę ducha ożywiającego nowy gabinet.

E. Jerzyna.

KRONIKA BIEŻĄCA

Krajowa i Zagraniczna.

Wiara i zgon Szopena. „Biesiada Literacka“ pomieściła w jednym z ostatnich swych numerów list ks. A. Jełowickiego, pisany w dniu 21 Października 1849 r. do pani Ksawery Grocholskiej. List to nader ciekawy i godzien uwagi z tego mianowicie względu, że rzuca on zupełnie nowe i nieznanne światło na ostatnie chwile genialnego muzyka.

Szopen — w otoczeniu bezbożnych towarzyszków i towarzyszek lat ostatnich, doszedł do takiego wyzolenia (!), że już tylko „mocą wykwintnej przyzwoitości nie naśmiewał się i nie szydził z rzeczy świętych“. Gdy jednakże przyjaciel jego z lat dzieciennych, ks. Jełowicki, przybywszy do Paryża i zastawszy go ciężko bardzo już chorym, począł nakłaniać do pojednania się z Bogiem, — Szopen wypowiedział się i przyjął Sakramenta Św. Tegoż dnia począł konać, a w tych chwilach ostatnich, tuląc się do spowiednika i trzymając go ciągle za ręce, wołał co chwila: Jezus Marya! — i całował krzyż, z zachwytem wiary, nadziei i miłości wielkiej. Niekiedy zaś znowu przemawiał do obecnych: „Kocham Boga i ludzi! Dobrze mi że *tak* umieram... siostrzo moja kochana, nie płacz... Nie płaczcie, moi przyjaciele!.. Czuję że umieram... Módlcie się za mną... Do widzenia w Niebie.“ I modlił się sam, i dziękował ks. Jełowickiemu, że przy jego pomocy i dobroci nie umiera jak z wierzę.

List to, powtarzamy, ciekawy — i nietylko ciekawy, ale wielce pouczający. Jest on bowiem jednym więcej dowodem, że nad żadnym umysłem wyższym, nad sercem szlachetniejszym, nad żadnym duchem podnioslejszym obłęd niewiary nie jest w stanie zapanować na zawsze. Wcześniej czy później, duch taki z tej cechy zbydłecenia otrząsnąć się musi tak, jak się otrząsnął duch Szopena. Tylko zaś dusze małe, umysły choćby najbardziej rzekomą wiedzą nowozytą wypolerowane, ale tpe w gruncie, tylko serca wyzute z uczuć szlachetniejszych, mogą nie odczuwać potęgi wiary, ani widzieć błogosławionego jej światła. Tylko też ludzie z takimi właściwościami umysłów i serc, tylko tak mali mogą żyć i kończyć jak — zwierzęta.

Ze stosunków ziemiańskich. Z Petersburga donoszą do dzienników tutejszych, iż w tych dniach odbyło się tam pierwsze posiedzenie przygotowawcze komisji, która, pod przewodnictwem wice-ministra Plewego, ma rozważyć kwestyę podniesienia cen produktów wiejskich.

„Nowoje Wremia“, omawiając kwestyę banku włościańskiego w Królestwie Polskiem, mającego niebawem wejść w życie, i poruszając zarazem sprawę „funduszu użyteczności publicznej“, czyni, co do tego ostatniego, następujące uwagi:

„Rozumie się, że operacya banku włościańskiego zgadzają się najzupełniej z pojęciem „użyteczności publicznej“, która rozciąga się również na ludność prawosławną Chełmszczyzny.

„Ale dalej należy zapytać się, co się ma stać z tym milionowym funduszem, który właściwie nie ma żadnego przeznaczenia? Czy pod tym względem obmyślono już cokolwiek na przyszłość? Nic. Otóż, przy tej sposobności nie od rzeczy będzie wspomnieć o potrzebie obrotowego kapitału dla polskich właścicieli ziemskich. Brak kapitału obrotowego, brak taniego kredytu jest tam niejednokrotnie powodem ruiny i przymusowej sprzedaży. Ta potrzeba właścicieli ziemskich stanowi często temat artykułów publicystyki polskiej. Dlaczegożby tedy nie użyć wspomnianego powyżej funduszu, będącego pozostałością czysto polskich kapitałów, na rzecz polskich obywateli ziemskich? Myśl ta zasługiwałaby na opracowanie, w celu odpowiedniego zastosowania jej w praktyce, a urzeczywistnienie jej wywarłoby w kraju jak najlepsze wrażenie.“

Ofiara. J. E. ks. Kuliński, Biskup dyecezyi Kieleckiej, przeznaczył rs. 5,700 na rzecz pomnożenia funduszy Towarzystwa dobroczynności w Kielcach.

Resursa rzemieślnicza. Pan Wenda, stolarz, powziął myśl, nie nową wprawdzie, podnoszoną już nieraz, ale niemniej uczciwą i pożyteczną — podjęcia starań około założenia w Warszawie resursy rzemieślniczej, i znalazłszy słuszne poparcie tej myśli w „Gazecie Rzemieślniczej“, nie żałuje pan W. tych starań i zabiegów, prowadzi je rozumnie i systematycznie, przy pomocy ludzi dobrej woli, — lecz nie ma i nie może być u nas takiej sprawy, w którejby nie bruzdzili różni niepowołani „kierownicy opinii publicznej“. I tutaj więc znaleźli się tacy, w osobach przedewszystkiem reporterów. Gdy jednym naprzykład idzie o udział w przyszłej resursie — i młodzieży rzemieślniczej niepełnoletniej, drudzy znów na miejsca zebrań towarzyskich chcą przeznaczyć gwałtem dzisiejsze gospody czeladnicze. I po co cała ta gadanina? — po co to mącenie rzeczy, której się raczej jednomyślnie poparcie należy? Niepełnoletnich członków resursa mieć nie może, gdyż ustawa jej musi się oprzeć na ustawie normalnej, obowiązującej w Cesarstwie, a ta ostatnia, w § 9-tym, czyni wyraźnie zastrzeżenie

powyższe. Co zaś do gospód, te są tylko kancelaryami i niczem więcej, nie mogą więc w żadnym razie zastąpić resursy. Po co więc, pytamy, ta cała gadanina kuryerkowa? Najlepiej też zrobi p. Wenda i jego towarzysze, gdy, nie zważając na głosy różnych oponentów, występujących pod zmyśloną firmą „Rzemieślników“, nie odstąpią od raz podjętej sprawy dopóty, dopóki nie przeprowadzą jej szczęśliwie, a czego właśnie życzymy im z serca.

Z prasy. „Kraj“, skomponowawszy (nie sfałszowawszy, broń Boże!) podpis pana Kazimierza Pułaskiego, o czym sam interesowany podwakroć już ogłosił publicznie, gromi nas i wzywa do krucyaty przeciw nam całą „korporację dziennikarską“ za to, żeśmy nadużyli to, niepraktykowane dotąd w prasie polskiej, ani nawet w żydowskiej drukowanej po polsku, poważyli się odpowiednio skarcić. Ponieważ „Kraj“ robi nam przytem zarzuty równie niegodziwe, jak całe jego zachowanie się w tej przedziwnej sprawie, przeto nieomieszkamy w numerze najbliższym odeprzeć tego marnego szamotania się — w sposób, na jaki zasługuje. Tymczasem poprzestajemy na zaznaczeniu jedynie tej charakterystycznej... śmiałości organu — znanego nam dobrze i od bardzo dawna — p. Piltza Erazma.

Z teatru i muzyki. Na scenie teatru Wielkiego wystawiono po raz pierwszy operę Massoneta: „Manon Lescaut“.

Wystawa muzyczna, urządzona, jak wiadomo, staraniem hr. Gustawa Platara, przyniosła dochodu Kasie pożyczkowej artystów Teatrów warszawskich przeszło 2,000 rubli.

Wylewy wód czynią wszędzie niemal przerażające spustoszenia. Gdańsk, Poznań, Elbląg, Malborg, tudzież ich okolice, zostały zalane; — straty olbrzymie.

Zmarli: Ś. p. Bolesław Czerwieński, uzdolniony poeta i dziennikarz — zm. we Lwowie.

Ś. p. Feliks Stawiski, właściciel dóbr Rembieszów w powiecie Łaskim, człowiek czynny i pełen cnót obywatelskich, cieszący się powszechnym szacunkiem w kołach ziemiańskich — zm. tamże.

Z powodu świąt, materyał handlowo-sprawozdawczy jest nader skąpy i niepewny; z tego też względu sprawozdania w numerze dzisiejszym nie pomieszczyamy.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Wł. Stop. z Warsz. — Zapewne, tylko że nas okoliczność: „za jakie pieniądze pomieszcza p. Wiślicki, w swoim Przeglądzie ogłoszenia firm żydowskich“ — nie zgola nie obchodzi. Zresztą, napaści i przyczepki tego rodzaju postanowiliśmy odpiierać w zupełnie inny sposób.

P. A. J. — Prosimy uprzejmie o pozostawienie nam jeszcze tygodnia czasu.

Pani Klementynie Z. — Wspomnienie o ś. p. Kazimierzu Duninie było jeszcze w N-rze 8 z r. b. Odpowiedzi listownej przestać nie mogliśmy i nie możemy — nie mając adresu sz. pani.

Panu E... — Z listów bezimiennych, tej zwłaszcza treści, korzystać nie możemy.

P. Siemianowski w S... — List z pieniędzmi otrzymaliśmy; Rola jak była, tak jest i będzie wysyłaną regularnie w każdą Sobotę. Przyjmijcie Sz. Panie pozdrowienie bratnie.

Protest. Z powodu dokumentu spisane go w dniu 22 Lutego r. b. w sprawie pomiędzy mną a p. Aleksandrem Głowackim (Prusem), — oświadczam niniejszem iż dokument ten, jako nie zawierający szczegółów najważniejszych tejże sprawy dotyczących, jako nadto niezgodny z istotnym stanem rzeczy — na co dowody posiadam w rękę — i jako wreszcie niewłaściwie podpisany, nie ma i mieć nie może żadnego znaczenia. *Jan Jeleński.*

REKLAMY.

Biuro Komisowo-Nauczycielskie A. Lewińskiego,

Zielna Nr. 42 róg Próżnej, z osobnym oddziałem Stręczeń mając do lokacyi: Nauczycieli, Nauczycielki, Bony różnego wykształcenia i narodowości, Rządców z kaucjami i bez, Ekonomów, Pisarzy, Gorzelanych, Mechaników, Techników, Ogrodników, Gospodynie, Panny służące i t. d., poleca swoje pożyteczne usługi, oparte na dobrem zrozumieniu własnego interesu, na dążności wyrobienia renowy firmy niesieniem usług jakich J. W. i W. W. Chlebobdawcy spodziewać się mają prawo od Instytucyi rządzącej się zasadami. (26—24)

Główny Skład Dywanów

GIEŁŻYŃSKIEGO PIOTRA, ulica Marszałkowska Nr. 137

(10-ty dom od ogrodu),

poleca w wielkim wyborze: Dywany najrozmaitsze, Serwety, Chodniki, Koldry, Dery i t. p. JUTY i WEŁNY na pokrycia meblowe, Kretony Fabryki Zawiercie. Ceny fabryczne. PP. Handlującym rabat.

Fabryka Narzędzi Chirurgicznych 52-14
i wszelkich stalowych ostrych, oraz Bandaży

I. Jodłowskiego

Blańska Nr. 5. — Filja: Marszałkowska Nr. 137
(9-ty dom od ogrodu).

poleca wielki wybór narzędzi chirurgicznych, weterynaryjnych i nowozownicznych — oraz przyjmuje wszelkie obstalunki i reperacje po cenach najumiarkowańszych.

Dla p. p. Właścicieli Lasów.

Zupełnie nowe urządzenia, taksacye, lustracye lasów, oszacowania drzewostanów rębnych, sprzedać się mających, pomiary, uwalnianie od serwitutów, przeprowadza Technik leśny, egzaminowany, według najlepszych zasad teoretycznych i praktycznych pod gwarancją. Ewentualnie przyjmując może Zarząd lasów i Dóbr. Łaskawe oferty przyjmuje W. n. Kołakowski w Korytnicy — O. p. stacya Chęciny Drogi Żelaznej Iwangrodzko Dąbrowskiej. (6—2)

FABRYKA i MAGAZYN

WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY KONNEJ JAZDY I POŁOWANIA

T. L. BREYMEYER, — Warszawa

Królewska Nr. 1, róg Krakows.-Przedm.

Kufry — Walizy — Torby — Sakwojaze
Płaszcz gumowe — Buty filcowe
Kurtki — Płaszcz i Spodnie skórzane
Torby myśliwskie — Futerały na broń
Portmonetki — Pugilaresy — Portegary — Woreczki i t. p.
Wszelkie reperacje uskuteczniają się szybko i dobrze.

52-34

Krawiec

(52—8)

M. CHMURCZYŃSKI

w WARSZAWIE

róg Nowogrodzkiej i Marszałkowskiej Nr. 94 nowy.
na dole w podwórzu po prawej stronie.

Przyjmuje wszelkie obstalunki w zakres krawiectwa wchodzące, oraz wykonywa wszelkie odnówki jesienne i zimowa palta, sakpalta, surduty, tużurki, zakiety, marynarki, spodnie, kamizelki i t. p., i takowe oczyszcza z plam i brudu, obszywa taśmą, podszywa podszewki, nicuje, reperuje, zmienia aksamitne kołnierze, guziki i odprasowywa, jak najakuratniej, po cenach bardzo niskich.

SKŁAD GŁÓWNY HERBATY KARAWANOWEJ

Moskiewskiego Domu Handlowego

B. KLIMUSZYN

(6—2)

ul. Niecała Nr. 4.

Poleca wyborową Herbatę pakowaną w Moskwie w 1/1, 1/2, 1/4 i 1/8 fun. oraz w pudełkach metalowych i drewnianych.

Czarną od rs. 1 kop. 60 do 3 rs.

Kwiatową od rs. 2 kop. 50 do 7 rs.

którą również nabywać można w znaczniejszych składach kolonialnych w Warszawie i na prowincyi.

Magle pokojowe najnowsze systemu; można nabyć takowe i zarazem na miejscu wypróbować ich praktyczność, — jak również Maszynki nowe do kapslowania butelek bardzo łatwym sposobem. — Tanie, najnowszego systemu i najpraktyczniejsze Maszynki do masła różnych wielkości. — Najnowsze maszynki do siekania mięsa i wyżyłowania. — Taboreciki i Stółki składane i t. p. różne wyroby, stosowne i praktyczne do gospodarstwa i użytku domowego.

Posiada na składzie.

Warszawska Fabryka Lodowni Pokojowych

pod zarządem:

J. KUCHTY

Piękna Nr. 30.

(12—8)

Cenniki wysyłają się na żądanie gratis.

J. SZTENGEL

Biszkopty, Herbatniki, Ciasteczka drobne do wina.



Cukry deserowe, Czekoladki, Kakao kuracyjne.

Róg Marszałkowskiej
i Zielonego Placu.

6-2

ZAKŁAD WODOLECZNICZY

(3-1)

Apteka — poczta — telegraf
sklepy
dwie restauracje.

„NAŁĘCZÓW”

5 godz. od Warsz., 1 g. od Lublina,
4 wior. od st. dr. z. Nadwiślańskiej
Nałęczów. Powozy i omnibus na
pociągi pocztowe.

oraz dom zdrowia dla chorych chron. z zastos. elektr., masażu, wód miner., kumysu, mleka i t. d., pod kierown. Dra Konrada Chmielewskiego, cały rok otwarty. Kąpiele zaś żelaziste, borowinowe Nałęczowskie, igliwiowe i wszelkie sztuczne oraz gimnastyka lecznicza od 1 Maja. Urządzenie zakładu wykwinne i wygodne; w sezonie letnim wspólnie z dyrektorem Zakładu Dr. K. Chmielewskim (cierpienia organów trawienia) chorych leczą konsultanci specjaliści: Dr. K. Chełchowski (choroby dróg oddechowych), Dr. H. Nussbaum (chor. nerwowe), Dr. G. Doliński (chor. kobiece), Dr. R. Radziwiłłowicz as. Zakładu. W Nałęczowie leczą się skutecznie wszelkie choroby nerwowe, żołądko-kiszkowe, kataru płucne, osłabienia płciowe, choroby kobiece, bladaczka i t. p. Koszt całodziennego utrzymania z kuracją od 3 rs., w sezonie zimowym ceny znacznie niższe. Bliższych objaśnień udziela na miejscu Administracja Zakładu i w Warszawie apteki: Barcza i Heinricha.

TADEUSZ KOWALSKI i A. TRYLSKI

Warszawa, Miodowa Nr. 4,

polecają:

Nasiona Roślin pastewnych i okopowych w wyborowym gatunku, jako-
to: Marchew, buraki, żąb koński, lucernę etc., oraz wszelkie trawy wy-
próbowanej dobroci.

Cenniki na żądanie wysyłamy.

(3-2)

Najwyżej Zatwierdzone

Towarzystwo Wzajemnego Ubezpieczenia na Życie

„NEW-YORK”

ZAŁOŻONE W 1845 ROKU.

Warunki Ubezpieczenia i Kontroli zostały zatwierdzone przez P. Ministra Spraw Wewnętrznych 21 Października 1887 r.
Kapitał gwarancyjny, najzupełniej zrealizowany, wynosił w dniu 1-go Stycznia 1887 r. 161.100,224 rubli. Towarzystwo złożyło do Banku Państwa 500,000 rubli tytułem kaucyki, (w listach pożyczki wewnętrznej z roku 1837 wartości nominalnej 600,000 rubli).
Osobny, prawem przepisany, fundusz rezerwowy składa się do Banku Państwa, jako gwarancja Ubezpieczeń w Cesarstwie i Królestwie zawartych.

Czynności Towarzystwa i unormowanie funduszu rezerwowego, podlegają czynnej kontroli Rządu Ruskiego.
Wszelkich objaśnień udziela Biuro Towarzystwa w Warszawie, Plac Saski Nr. 5.

DYREKTOR

na Rosyę Południową i Zachodnią

L. Werner.

oraz na Królestwo Polskie:

Bankierzy w Warszawie.

Bank Handlowy w Warszawie.

A. Rawicz & Comp.

(0-7)

SKŁAD ZEGARKÓW

S. POPIELA, (52-17)

Ulica Elektoralna Nr. 5.

Polski Kantor Bankierski

RADZISZEWSKI i S-ka (52-13)

WARSZAWA — HOTEL EUROPEJSKI.

Wystawa przemysłowo-roln. w r. 1885.
DYPLOM UZNANIA.

ISTNIEJĄCY OD 1862 ROKU.

MAGAZYN MEBLI
ZJEDNOCZONYCH STOLARZÓW

w Warszawie, Tłomackie Nr. 6, — były Hotel Wileński.

Poleca umeblowanie pokojów jadalnych, sypialnych, salonów, i posiada meble od najwykwintniejszych do najkonieczniejszej potrzeby, po cenach możliwie niskich, także wszelkie roboty tapicerskie i dekoracje, podług największych żurnali

(13-1)

Specjalna Fabryka i Magazyn
BIELIZNY

L. GAŁKOWSKIEGO

w Warszawie,
Marszałkowska Nr. 133,
róg Ś-to Krzyckiej.

Poleca — w wielkim wyborze :

Koszule męskie, odznaczające się najlepszym krojem i wykończeniem, Kołnierzyki i Mankiety w najnowszych fasonach. Kałesony, Skarpetki i Szelki, Wielki wybór Krawatów, Szpilek i Spinek najmodniejszych. Chustki na szyję jedwabne i półjedwabne, oraz Chustki do nosa, zawsze w wielkim wyborze. Wyroby trykotowe wełniane i bawełniane. Kaftaniki siatkowe higieniczne, oraz wyroby wełniane D-ra Jaegera. Wszelkie zamówienia wykończają się starannie i spiesznie, po cenach stałych, możliwie niskich, p. p. handlującym ustępuje się rabat.

„Najlepszy krój Koszul męskich.“

52—29

Główny Skład Wyrobów Tabaczných

Hurtowy i Detaliczny

PAWŁA KOŁODZIEJSKIEGO i S-ki

przy ulicy Nowy-Świat Nr. 51 (róg Wareckiej).

Poleca:
wielki wybór cygar, tyto-
niu i papierosów, z wszyst-
kich fabryk russkich i
miejscowych, oraz gilyzy
własnej fabryki, z pra-
wdziwej francuzkiej bibu-
ki „ABADIE“.
Dla Pp. Handlujących
odstępuje towar na
najkorzystniejszych
warunkach.
Wszelkie objaśnienia
na żądanie *franco*.
(10-9)

TANI POLSKI
Magazyn Bławatny

W. KLECZYŃSKIEGO

Krakowskie Przedmieście 64.

Resurexa Obywatelska,

otrzymał i poleca Szanownej Publicznosci wielki wy-
bór towarów na sezon obecny, a mianowicie :

Pół wełny od 13 kop. do 35.

Materyały czysto wełniane podwójnej szerokości, po
kop. 55, 75, 90, rs. 1, 1.25, 1.50 i t. d.

Materyały czysto wełniane w pasy i kratki od kop. 70
do rs. 1.50.

Kaszmiry czarne w wielkim wyborze od kop. 60 do rs.
2 za łokieć.

Korty na damskie okrycia od kop. 60 do rs. 2 za łokieć.

Velvety czarne i kolorowe, w wielkim wyborze, na skła-
dzie po cenach niskich.

Korty na męskie ubrania od rs. 1.30 do rs. 2.50.

Płótno Jarosławskie na trawie bielone od rubli 7 za
pół sztuki.

Bielizna stołowa biała i kolorowa, wyprzedaje się po
cenie kosztu.

Oprócz wymienionych wyżej przedmiotów, Ma-
gazyn posiada wielki wybór **Perkali białych**, **Półpłótna**,
Madapolamów, **Drelichów** kolorowych, **Firanek**, **Kołder**
pikowych białych i kolorowych i **kołder wełnianych**.

12—3

NASONA (6—3)

świeżo sprowadzone, polecają

ESTREICH i PODBIELSKI

Warszawa, Młodowa Nr. 19.



SKŁAD WIN (24—5)

J. Lijewskiego i S-ki

Krakowskie Przedmieście Nr. 6,
(wprost Kościoła Ś-go Krzyża).

Mianowany przez Prześwintny Konsystorz Generalny Warszawski
przysięgłym dostawcą win do Ofiary Mszy Ś-tej, donoszę uprzejmie,
iż chcąc godnie odpowiedzieć położonemu we mnie zaufaniu — zaopatrzy-
łem piwnice w **czyste i wystate** wina Węgierskie, odpowiednio do użyt-
ku kościelnego i sprzedaję takowe na butelki, garnce i beczki.

Oprócz tego pozwalam sobie zwrócić uwagę Szanownych Odbior-
ców na wina w beczkach z zapasów dawniejszych, a mianowicie z roku
85-go — jako z ostatnich lat dla win Węgierskich najkorzystniejszego —
w bogatym wyborze gatunków i smaków, odstępując takowe, przy możli-
wie małym zysku, po cenach hurtowych.

W końcu nadmienię sobie pozwalam, iż piwnice składu zaopatrzo-
ne są w liczne i wyborowe gatunki win Węgierskich w butelkach, tak
wytrawne, jak maślaczy, odznaczających się **czystością jagody**
i w skutek tego **zdrowych i posilających**, oraz w wszystkie inne wina
zagraniczne z renomowanych domów, jak **Francuzkie**, **Reńskie**, **His-
zpańskie** i t. d.

Szczegółowe cenniki na żądanie franko i bezpłatnie.

SKŁAD MEBLI 13-5

MAJSTRÓW STOLARSKICH

róg Marszałkowskiej i Zielonego Placu,
Nr. 60 (150 nowy), 1-sze piętro.

Pragnąc dostarczyć JJWW. i WW. Panom mebli dobrych,
produkowanych we własnych warsztatach, poleca takowe od
najskromniejszych do wykintnych, przyjmuje również zamówie-
nia na roboty tapicersko-dekoracyjne, gwarantując za dobroć
towaru i roboty.

KAUCYONOWANE

BIURO NAUCZYCIELSKIE

Z. JASIŃSKIEJ

Ulica hr. Berga Nr. 6 — w Warszawie.

Rekomenduje Nauczycieli, Guwernantki i Bony różnych
narodowości i stopni wykształcenia. (1-1)

Treść numeru : Niecne sposoby! — Francya zżydziała (d. c.) — Na wyspie Zelandyi; z notat podróznego przepisał St. Piast. — Lichwiarze warszawscy. (Szkice z życia) IV. — Z kroniki naukowej. — Na posterunku, feljeton Kamiennego. — Z całego świata. — Kronika bieżąca krajowa i zagraniczna. — Odpowiedzi redakcyi. — Protest. — Ogłoszenia. — **W odcinku** : „Narwaney“, powieść przez T. Jeske-Choińskiego (d. c.). Sprawozdanie handlowe. — Ogłoszenia.

Redaktor i Wydawca **Jan Jeleński**. Дозволено Цензурою. — Варшава 24 Марта 1887 г. (Drukiem „WIEKU“ Nowy-Świat N-r. 61)

LICHWIARZE WARSZAWSKY.

Lichwa to bagno bezdenne. Kto raz wstąpił na ten grunt zdradny i grzędki, dla tego niema ratunku, każdy krok, każde poruszenie, każde nisłowanie wydobycia się, pograża go jeszcze bardziej w przepaści. Bagno pochłania swoją ofiarę.

Lichwiarz to pasorzyt, najstraszniejszy ze strasznych, czepia on się biedaków i wyciska z nich wszystkie soki żywotne, eksploatuje ich pracę, wydziera z rąk najmniejszy bodaj kawałek chleba.

Kto raz wszedł w stosunek z lichwiarzem, ten przestał istnieć dla siebie, a natomiast został niewolnikiem, rzeczą, własnością, bydłem roboczym swego wierzyciela.

Nie od dziś się to praktykuje. W starożytności już znano dobrze lichwę z całą jej ohydą, w wiekach średnich potępiał ją Kościół, potępiały prawa państwowe, — ale pomimo tego, lichwiarze istnieli i prowadzili niecie swe rzemiosło. Przeciwno skutkom prawa potrafili się zabezpieczać za pomocą różnych wykrętów, a na pokrycie ewentualnego ryzyka, darli ze swych ofiar podwójne i potrójne procenta.

Prawodawstwa nowsze ustanowiły normę procentu prawnego, w ostatnich wszakże czasach, widząc że wszelkie przepisy w tym względzie pozostają martwą literą i nie mogą złemu zapobiedz, pozostawiły ustanowienie wysokości procentu dobrowolnej umowie stron.

Bo i co tu pomogą ograniczenia prawne? Przepis zostanie przepisem, a rzeczywistość rzeczywistością, — na świecie zaś nie zbraknie lekkomyślnych lub nieszczęśliwych, a zatem i żeru dla lichwiarzy.

Lichwa, tak jak prostytutcy, wchodzi w szereg przestępstw tolerowanych, jako złe konieczne, nie dające się z gruntu wykorzenić, a władza państwowa tyle tylko zrobić może, że przestępstwa owe w pewnej części przynajmniej usiłuje poddać kontroli. Bądź co bądź, jawny lombard prywatny jest znośniejszą formą lichwy, niż potajemny.

Powiedzieliśmy wyżej że lekkomyślnych i nieszczęśliwych, a zatem żeru dla lichwiarzy — nie braknie.

O lekkomyślnych nie ma co mówić, wpadają oni w niebezpieczeństwo jak śmy w ogień i ani perswazyja, ani dobra rada ich nie powstrzyma. Mniejsza też o nich, — ale pomóż prawdziwie nieszczęśliwym, dźwignąć ich i wydobyć z najstraszniejszej niewoli, jaka istnieje na świecie to zadanie piękne i godne podjęcia. Pomówimy też o niem w końcu niniejszej pracy, a jeżeli owocem jej będzie choćby jedna kasa pożyczkowa, choćby jedno stowarzyszenie na wzajemnym kredycie oparte, to cel pracy niniejszej będzie osiągnięty. Lichwa to robak, który wgrzył się głęboko w różne warstwy naszego społecznego organizmu i toczy go niemiłosiernie. Walka z tym pasorzytem nie może być doraźna, — trzeba raczej powolnego, systematycznego, a nadewszystko wytrwałego działania; lat trzeba i pracy zbiorowej, ażeby do pewnego przynajmniej stopnia, ograniczyć tę straszliwą plagę społeczną, pod brzemieniem której jęczy w niewoli tak wielka liczba nieszczęśliwych.

Czy też zdawał sobie kto sprawę z tego, jaką rolę gra lichwa w naszym życiu społecznym i ekonomicznym? Czy badał sferę tak zwanych „interesów“, uprawianych przez aferzystów podłego, podlejszego i najpodlejszego gatunku? Czy zastanawiał się nad pytaniem ile też godzin dziennie urzędnik, oficyalista, rzemieślnik i wyrobnik pracuje na utrzymanie swojej rodziny, a ile na lichwiarzy?

Są to przerażające cyfry i tysiące cichych dramatów zawierają w sobie.

Cały kraj pokryty jest gniazdami lichwiarzy, którzy jak pająki rozpościerają swe sieci. Wpada w nie właściciel folwarku i włościanin i posiadacz nieruchomości miejskiej i urzędnik i kupiec i rzemieślnik i wyrobnik i emeryt nawet, a jak raz wpadnie, to przepadł, to już niema dla niego ratunku. Okropne to jest.

Gdyby kto chciał przedstawić dokładny obraz lichwy i wszystkich jej gniazd rozrzuconych po kraju, musiałby napisać kilkotomowe dzieło — my nie kusimy się o takie zadanie, i pragniemy tylko w pobieżnych szkicach, zarysować sylwetki warszawskich pajaków, — wydobyć ich na światło dzienne. Niech im się publiczność przypatrzy, niech zobaczy jakie formy przybrało niewolnictwo w ucywilizowanym szczyjącym się ze swego postępu, wieku XIX-tym.

Czytelnik przekonany jest zapewne że w pracy niniejszej będzie wyłącznie mowa o żydach, albowiem typ lichwiarza zrósł się słusznie z typem żyda i tak się też przedstawia w sztuce, w literaturze i w opinii publicznej.

Szekspirowski Shylock, pragnący wyciąć dłużnikowi swemu funt ciała, jest wyznawcą zakonu Mojżesza — i wszę dzie tego rodzaju postacie mają zazwyczaj charakterystyczne cechy semickiego typu. Otóż czytelnik omyli się

w przypuszczeniu swoim. Ujawniając złe wśród dzieci Izraela — nie możemy patrzeć obojętnie, gdy ono gnieździ się i rozmnaża wśród nas. Nie możemy, bez dławiącego bólu w piersiach, patrzeć na to największe z pośród wszystkich nieszczęść — nieszczęście, jakim jest zaraza moralna przechodząca do nas od żydów, zaraza ujawniająca się w niepomiernej chciwości łatwych, szybkich zysków, w zabijaniu wszelkich uczuć szlachetnych dla... miłego grosza!

Bronić się od takiego zżydzenia, od takiej, jedynie dotąd widocznej „assymilacji“ jest świętym obowiązkiem, a właśnie i w sferze operacyj pieniężnych, o jakie idzie nam w tej chwili, — operacyj lichwiarskich, z żyd z e n i e chrześcijań jest niestety widocznym. I w świecie chrześcijańskim znajdują się niestety jednostki zakażone semicką żądzą złota i chciwością zysku, są drapieżne wampiry rade ssać krew cudzą i tuczyć się bez trudu ciężką pracą bliźniego. Więc też gdy nam zwłaszcza w szkicach niniejszych nie o rassy i wyznania, ale o rzecz samą, o wielkie nieszczęście społeczne chodzi, wywłóczyć będziemy na światło wszelkiego już rodzaju lichwiarzy, bez względu na to kim są i w co wierzą, jeżeli w ogóle ludzie trudniący się tym procederem mogą w co szlachetne wierzyć i posiadać jakie ludzkie instynkta.

Do Warszawy, jako do dużego miasta, gdzie wśród półmilionowej blisko ludności, musi być obfitość najróżnorodniejszych zarobkowych i majątkowych stosunków, ściga się spory kontyngens biedaków poszukujących pracy i chleba, oraz większy zastęp aferzystów, liczących na to, że znajdą w mieście wielkiem dość mętnych źródeł, w których nie trudno będzie bez wysiłku, ryby łowić. Pierwsi zawodzą się najczęściej — drudzy idą na pewno. Dwie te fale napływowe spotykają się z sobą i druga pożera pierwszą.

A oprócz napływowej biedy — ileż miejscowej jest! Ktoby pomyślał patrząc na wesoly uśmiechnięty tłum posuwający się w piękny wieczór letni ku Ujazdowskiemu Alejom, na elegantów i elegantki zapełniające Ogród Saski, że wśród nich połowa przynajmniej piszczy w szponach lichwiarskich! A tam niżej znów, na Dobrej, Solcu, Czerniakowskiej, Fabrycznej, gdzie się roi tłum robotników fabrycznych — jakież to wdzięczne dla lichwiarzy pole!

Od klubu arystokratycznego do najordynarniejszej szynkowni — od wykwintnie umeblowanego salonu do nędznej suteryny, w wilgotnej atmosferze której wegetują biedacy, we wszystkich sferach ludności, lichwiarze, pod najrozmaitszymi postaciami, w najrozmaitszych formach, prowadzą swoje operacje.

Czy zgangrenowane moralnie, choć jeszcze niepełnoletnie paniątko, potrzebuje kilku tysięcy rubli na sfałszowany podpis papy, czy nieszczęśliwa wyrobница, szuka kilku złotych na zastaw ostatniej poduszki, lichwiarz da i, czy tam czy tu, doskonale zarobi.

Rozumie się że takie obszerne pole działania, taka rozmaitość sfer w których operować można, musiała ciągnąć za sobą konieczność wytworzenia się pewnych specjalności lichwiarskich. Z zadziwiającą harmonią i zgodą, podzielili się lichwiarze, na tysiączne koła, kółka i kółeczka; — jeden drugiemu nie wchodzi w drogę, nie przeszkadza, nie robi konkurencji. Każdy pilnuje swojej sfery ofiar, swego kółka i w tem kółku jest samowładnym panem, nakłada warunki takie, jakie mu się podoba; — ponieważ zaś lekkomyślni nie rozumieją, a nieszczęśliwi nie mają drogi wyjścia — przeto lichwiarz nie zna nawet głosu protestu i znać go nie chce. W układzie on dyktuje warunki, a ofiara musi je bez szemrania przyjmować.

Codziennie, że się posłużymy utartem, ale dobrze malującym rzeczą wyrażeniem, popęlnia się w Warszawie tysiące „rozbojów na gładkiej drodze“, tysiące grabieży i łupieztw, lecz wszystkie one, obleczone są w tak legalne formy, że władza, moralnie nawet przekonana o nadużyciu, interweniować nie może. Ale cóż o tem mówić. Nie znalazł się jeszcze prawodawca, któryby potrafił zabezpieczyć jednostkę od tego rodzaju wyzysku.

Ogromne pole działalności lichwiarskiej, podzielone zostało na specjalne poletka. Lichwiarzy encyklopedystów niemasz, są specjaliści tylko. Taki co się kręci w okolicach sądu i poluje na biedaków mających do zbycia summy hipoteczne, za czwartą część wartości, nie pożyczka na zastawy. Opiekun główny artystów, nie wda się w interes z urzędnikiem, lichwiarz kolejowy nie prowadzi dyskonta weksli pod bankiem, a specyjalista od zastawów, nie robi interesów na poręczenie choćby najlepsze. Są specjaliści lichwiarze mający w swej opiece teatr: każde biuro, każda instytucja ma jednego lub kilku swoich dobrodziejów, dobrodziejów wyłącznych — są specjaliści od wielkich kokotek i specjaliści od przekupek, którym udzielają kredytu na termin tygodniowe, za skromnem wynagrodzeniem, dziesięciu lub piętnastu groszy od rubla!

Zastanów się teraz łaskawy czytelniku i oblicz, choćby przypuszczalnie tylko, ilu takich dobrodziejów posiada Warszawa i ile trzeba pieniędzy na ich utrzymanie i na „uczciwy dorobek“, bo przecież na to lichwiarz pożyczka pieniędzy żeby się „dorobił“.

Ile setek tysięcy, ba! może i milionów rubli potrzeba aby utrzymać całą tę zgrają pasorzytów,—a notabene zgrają nie żałuje sobie; lubi porządnie mieszkać, dobrze zjeść i wypić, porządnie się ubrać, wyposażyć dzieci. Jakże wielkich odsetków od pracy uczciwej trzeba na utrzymanie wyzyskiwaczy i pasorzytów!

Przykład zresztą poniższy będzie wskazówką, jakie Warszawa składa lichwie ofiary.

Opowiadam fakt autentyczny.

Przed laty pięcioma przybył do Warszawy żydek posiadający całego kapitału 1,200 rubli i rozpoczął operacje lichwiarskie w sferze pracowników, pewnej instytucji prywatnej. Pożywał drobne sumki, na krótkie terminy, a kolidy w zawodzie wysmiewali się z niego, że jest kapcan i że nie umie prowadzić interesów. Istotnie, podobno z ich punktu widzenia mieli słuszność, albowiem kapitalista ów w przeciągu lat pięciu, dorobił się zaledwie czterech tysięcy rubli, (bo obecnie kapitał jego tylko tyle wynosi) no i przez pięć lat żył z rodziną, a rodzinę notabene ma dosyć liczną. Za mieszkanie płaci 300 rubli rocznie, na utrzymanie domu zaś potrzebuje przeciętno 60 rubli miesięcznie. Jeżeli zatem lichwiarz, uznany przez kolegów za niedołęgę w swej specjalności, robi takie interesa, to jakież mogą mieć zyski ci, którzy są majstrami w zawodzie!?

A kto się składa na te dorobki? Jak powiedzieliśmy wyżej: lekkomyślni i nieszczęśliwi. Pierwszych jest liczba znacznie mniejsza, drugich, niestety, cały legion, i ten to właśnie legion pada ofiarą pijawek, jego praca, jego krew, tuczy darmozjadów, wypasa najszkodliwsze płazy ludzkości. Ileż przez to jest rodzin nieszczęśliwych, ile uczciwych egzystencji zmarnowanych, ilu ludzi słabszej woli i energii rozpiło się przez to, a ilu samobójczą ręką przecięło nić ciężkiej, niewolniczej, niemożliwej do wytrzymania egzystencji! Smutna, bolesna statystyka.

Chodźcie do światła przyjaciele ludzkości, wynijdźcie naprzód godni obywatele, ukażcie swoje oblicze! Nie wstyďte się. Panie poważny, z krótko przyszytą brodą, bądź łaskaw. Nie masz się czego wstydzić. Garderoba twoja wyszła z pracowni pierwszorzędnego krawca, dewizka i zegarek kupione w Paryżu, na wskazującym palcu prawej ręki błyszczą pierścienie z krwawnikiem. Pierścienie — niestety — herbowy! Któżby ośmielił się zaprzeczyć autentyczności tego zbezczeszczonego dziś przez ciebie klejnotu. Wiedzą ludzie żeś miał zacnych rodziców, że nosisz piękne nazwisko; podobno gdy bawiłeś za granicą nóżka ci się powinęła, ale umiałeś w sam czas powstrzymać się od zupełnego upadku. Powiedziałeś sobie „dosyć!“ i postanowiłeś z małego kapitaliku wyciskać olbrzymie procenta. Postanowienie to chwalebne, tembardziej gdy kto ma zdolności do finansów. Pan je w wysokim stopniu posiadasz.

Lichwiarzem nikt pana nie nazywa — któżby śmiał?! Bywasz pan przecie w towarzystwach, znakomicie grasz w karty, przyjmujesz u siebie, prowadzisz dom porządnie, twoja mina i powierzchowność wzbudza zaufanie. Interesują cię wszystkie kwestie społeczne, mówisz o nich pięknie, płynnie, aż miło posłuchać, a poglądy twoje na sprawy tego świata są głęboko humanitarne, wzniósłe. To wiadoma rzecz. Używasz pan opinii bardzo porządnego człowieka i słusznie. Komorne płacisz regularnie, długów nie masz, ubierasz się elegancko, żyjesz dobrze, w winta grasz jak artysta, posiadasz zatem wszelkie kwalifikacje do powyższego tytułu. Przytem jesteś dowcipny przy butelce, posiadasz niewyczerpany zapas anegdot, znasz wybornie całą Warszawę, roznosisz plotki z elegancją i dyskrecją — słowem posiadasz wszelkie przymioty towarzyskie.

Na pytanie z czego się utrzymujesz — odpowiadasz cyrkułowi że „z własnych funduszków“, a znajomych zbywasz ogólnikami, żaląc się na ogólną stagnację, niepewność, brak pola do działalności. Powiadasz, kiwając głową z ubolewaniem, że kapitał krajowy musi być bojaźliwy i ostrożny, że nie znajduje on pewnej lokacji w przedsiębiorstwach przemysłowych lub rolnych i dla tego z bólem serca (kapitały mają przecież serca, to fakt), tulić się musi pod opiekuncze skrzydła listów zastawnych, lub innych papierów procentowych. Ludzie wiedzą że pan żyjesz porządnie, że nie odmawiasz sobie niczego, coby grzesznemu ciału mogło uczynić przyjemność; jeździsz pan corocznie za granicę, dla poratowania nadwątlonego zdrowia, a jeżeli przy zielonym stoliku idzie gra hazardowna, to wysokość stawki wcale cię nie przeraża. Opinia sądzi że lokujesz kapitały swoje w listach, muszą to być zatem pokaźne kapitały, skoro odsetki od nich pozwalają na tak porządne i dostatnie życie.

To też owa opinia mieni cię bardzo zamożnym człowiekiem, a znajomi, którzy odwiedzają cię niekiedy z zawiścią patrzą na solidną kasę żelazną, ozdabiającą twój gabinet. Ty zaś, dobry panie, śmiejesz się w duszy i z opinii i z przyjaciół, których tak łatwo łapać na plewy. Śmiejesz się, bo wiesz, że w twojej żelaznej kassie, kapitałów bardzo nie wiele, że wypuszczasz od czasu do czasu tysiączek, jak myśliwy sokoła na polowanie — wypuszcza. Wypuszczasz i cofasz go zaraz, bo w ogóle interesami się nie trudnisz, wierzysz tylko w listy, a jeżeli zrobisz komu delikatną przysługę, to więcej z dobrego serca, aniżeli dla chęci zysku. Operacje twoje są szybkie, a pewne. bo naturalnie niepewnych nie bierzesz i masz słuszność — na takie ciężkie czasy, któżby tam hazardował!

Właściwie nawet twoje operacje finansowe, nie są operacjami w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, są to tylko akty grzeczności, dokonane bądź przez ciebie samego wprost, bądź też za czyjś pośrednictwem. Jesteś, dajmy na to w jakim klubie, resursie, lub kawalerskim zebraniu. Jakiś młody człowiek, dobry twój znajomy, może przyjaciel nawet, miałby wielką ochotę spróbować szczęścia, ale grają ludzie z którymi nie łączą go bliższe stosunki. Gotówka jest wymaganą, a on tej gotówki nie ma. Tobie wszakże wiadomo doskonale, że młody człowiek ma za jakieś dwa, trzy dni pewną sumę do odebrania. Wiesz że ta pewna summa jest absolutnie pewna, więc dla czegoż nie wygodzić młodzieńcowi. Nie masz wprawdzie przy sobie, ale znasz kogoś (swoją kieszeń ma się rozumieć), przyzwoitego emeryta, ten za twojem pośrednictwem, da tysiączek za trzy dni, jeżeli ty poręczysz. Naturalnie dla przyjaciela nie odmawia się podobnej przysługi, ty ręczysz, a nie widziałby emeryt (czyli twoja własna kieszeń) daje tysiączek na trzy dni. Emeryt nie trudni się lichwą, ale trzeba się znać na grzeczności; bądź co bądź, godny ten staruszek wyświadczył przysługę, należy mu coś dać; bagatelkę, jakieś pięćdziesiąt rubelków, niech tam starowina ma na tabakę — zresztą na wszelki wypadek dobrze mieć taki stosunek.

Pan dobrodziej „poręczyłeś“, któżby śmiał proponować wynagrodzenie, jest to drobna przysługa towarzyska, wyświadczona gentelmanowi przez gentelmana, ale przyjaźń śniadanko, pudełko dobrych cygar, albo koszyk wina, można. Dla czego nie? To także tylko objaw towarzyskiej grzeczności. Wszak to stara prawda, szanowny panie, że człowiek uczynny jest nieszczęśliwy. Wyświadczona komuś dobroć pociąga za sobą nowe żądania ofiar. Wiedzą ludzie że pan zarzucony jesteś tego rodzaju prośbami, którym najczęściej nie odmawiasz. Bo ostatecznie cóż ci to szkodzi że pieniądze „staruszka“ są w ruchu? Jeżeli odbiór pewny, to dla czego pocziwina ten nie ma zarobić?

Ale nie dość na tem. Spotykają pana częstokroć w pobliżu rozmaitych instytucji kredytowych. Chodzisz pan sobie naturalnie bez celu, dla przechadzki jedynie, ot zwyczajnie, jak człowiek utrzymujący się z renty, człowiek, któremu dla samego zdrowia ruch jest potrzebny. I tam jednak nie dają ci spokoju. Jakiś przemysłowiec, kupiec, fabrykant, ma dziś płacić weksel. Za dwa dni może on zdyskontować weksel nowy, bo i sam odpowiedzialny jest i żyrantów ma dobrych, ale dzisiejszy weksel zapłacić musi, pod groźbą protestu i utraty kredytu, a czy to człowiek zawsze ma gotówkę? Każdemu może się zdarzyć, że mu zbraknie. I pan, znowuż stajesz się aniołem opiekunczym, wybawicielem, bo czegośbyś pan dla przyjaciół nie uczynił? a przyjaciel masz pan we wszystkich sferach. Ratujesz pan biedaka, mając znowuż na zawołanie jakiegoś „kapitalistę“, który za pięćdziesiąt rubelków na trzy, na dwa dni, chętnie tysiączkiem wygodzi. On zarobi, a pan z przyjacielem zjesz dobre śniadanko, przytem przyjaciel ze sfery handlowej zna się na grzeczności, potrafi sprowadzić jakieś tanie cygarka z Hamburga, koniaczek nie drogi z Francji, jak wiadomo przecie, świat stoi na wzajemnej wymianie usług.

Złośliwi powiadają — któż nieprzyjaciół nie ma — że pan pod obcym nazwiskiem utrzymujesz jakiś podrzędny lombardzik. Trudno temu uwierzyć, bo w rozmowie odzywasz się pan o lichwie z oburzeniem i najwyciszą pogardą; że zaś niewielki twój kapitalik przynosi ci trzysta od stu rocznie, nie licząc różnych śniadań i libacy, oraz prezentów; to zawdzięczasz swemu wyjątkowemu, uprzejmemu obejściu się i złotemu sercu, otwartemu dla każdego, kto przedstawia dobrą i pewną ewikcyę.

Nie radziłbym nikomu nazywać tego przystojnego pana lichwiarzem; pojedynek albowiem byłby w takim razie nieunikniony — a bez najmniejszej wątpliwości, obrażony dżentelman znalazłby, w towarzyskiej sferze warszawskiego świata, ludzi znanych, którzyby w charakterze nieubłąganych sekundantów, stanęli w obronie zagrożonej c z c i i h o n o r u. Ostrożnie więc i delikatnie...

(Dalszy ciąg w N-rze 14-tym.)